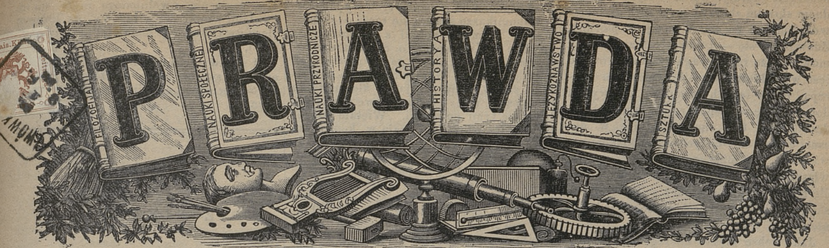
№ 31. Warszawa, dnia 31 (19) Lipca 1886 r. Rok VI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

DOROCZNE ODWIEDZINY.

Trzeba się zgodzić z organem stańczyków krakowskich, że odwiedzanie ks. Bismarka przez hr. Kalnokego jest „rodzajem serwitutu dyplomatycznego, do którego świat polityczny przywykł, a który trwać musi prawdopodobnie aż do chwili wielkiej likwidacyi europejskiej. Przestał on być już zdarzeniem doniosłem od czasu, jak się stał chronicznem... Biorąc rzeczy spokojnie, trzeźwo i praktycznie — mówi ten dziennik — zjazd obecny przedstawia się jako dalsze a systematyczne wykonanie przepisów hygienicznych, mających na celu utrzymanie pokoju europejskiego, podobnego do owego chorego, co ani umrzeć, ani żyć nie może. Recepta główna — to dobre porozumienie między Niemcami i Austryą; mikstura ta, którą pacyent zażywać ma raz na rok po łyżce stołowej, nazywa się: narady między hr. Kalnokym i ks. Bismarkiem, tym razem odbywające się w słonych wodach Kissingen, zamiast, jak dawniej, na świeżem powietrzu w Wardzynie..." Tak jest.

Europa przybrała dziwną postać: wygląda jak wielkie biuro policyjne z mnóstwem wydziałów i naczelników, którzy w pewnych terminach lub w miarę potrzeby składają raporty swemu dyrektorowi i odbierają od niego rozkazy. Do tego wszechwładnego człowieka przybywają również dostojni interesanci z prośbami o pomoc lub radę. On wszystkich traktuje z góry, nie zadaje sobie nawet trudu pozostawania w miejscu urzędowem, lecz mieszka na wsi, w dobrach swoich i tam musi przyjeżdżać każdy, choćby największy, kto pragnie lub potrzebuje z nim rozmawiać. Jednym z naczelników wydziałowych tego biura jest hr. Kalnoky, austryacki minister spraw zagranicznych, który w lecie obowiązany jest stawić się tam, gdzie jego wielki zwierzchnik przebywa — na wsi lub u wód. Tego roku wyznaczono mu przyjęcie w Kissingen. Z czem on podążył? Z uszami, któremi naczerpie „instrukcyj" i wiedzy, jak ma nawą państwa sterować. Gdyby te odwiedziny nie powtarzały się stale, gdyby one— ja powiada *Czas* — nie stanowiły „serwitutu dyplomatycznego," możnaby nasłuchiwać lub stukać w palce dla odgadnięcia ich przyczyny. Ale jest to coroczna wędrówka, która już nawet spowszedniała. Geograficznie Austrya przedstawia mocarstwo samodzielne, politycznie — prowincyę pruską, taką, jaką była względem Rzymu Hiszpania lub Grecya. Hr. Kalnoky, jadący do Kissingen, to nie minister odwiedzający równego mu ministra, ale podwładny wezwany przez zwierzchnika. To ustosunkowanie ról nie wydaje się przesadnem nawet prasie austryackiej, nisko schylającej głowy przed swym rządem, do której należy również *Czas*. Uznano fakt naprzód za konieczny, wreszcie za naturalny i już ledwie nieokiełznana opozycya lub umysły z po za koła polityków zawodowych śmią urągać temu „serwitutowi."

Czemuż jednak gazety tak zwróciły swe lunety na Kissingen i półsłówkami drażnią ciekawość społeczeństw? Lipiec — pora martwa, wyjałowiona, nierodząca ważnych wypadków. A czytelnik musi mieć codzień świeże nowalie. Nakarmia się niemi a spostrzegłszy, że jadł rzeczy nikłe, przebaczy dostawcom względnością dla omyłek ludzkich i wspomnieniami przyjemnego smaku. Trudno nawet orzec, co zrobiłyby dzienniki polityczne w lecie, gdyby dyplomaci i monarchowie nie spotykali się u wód. Jedyne źródło wyschłoby zupełnie a koła młynów musiałyby stać. Należy więc podziwiać — jak kto chce — albo mądrość natury, albo dobroć Opatrzności, albo miłosierdzie ministrów.

Do podsycenia obaw w największej ciszy materyałów nigdy nie brak. W Anglii rządy przeszły do rąk konserwatystów, nieprzyjaciół Rosyi a sprzymierzeńców ks. Bismarka. We Francyi przy odkryciu pomnika dla gen. Chanzego mówiono głośno o sojuszu francusko-rosyjskim i wołano: „niech żyje Rosya" a jednocześnie minister wojny posunął kilka korpusów ku granicy wschodniej i dał dowódcom zapieczętowane polecenia. Port wolny w Batumie zniesiony, książe bułgarski ani myśli poddawać się „woli Europy" i zuchuje dalej, król serbski w mowie tronowej wywróció koziołka, którym się odsunął od Austryi itd. — słowem nie brak drzazeg na ogień, jeśli ich ktoś szuka i potrzebuje. Z tych drzazeg bucha płomyk pogróżek wojennych, który przewija się między wierszami artykułów dziennikarskich. Maluczko, a zgaśnie on niewątpliwie. Gdy minister spraw zagranicznych p. Giers odwiedzi również ks. Bismarka w Kissingen, a arcyksiążę Karol Ludwik z małżonką dwór petersburski — gmachy z kart, na których powiewa alarmująca chorągiew, runą.

Z drugiej strony chorągiew ta, niezdejmowana od lat 15, t. j. od czasu nadmiernego rozdęcia się Prus, jak również obawy, biegnące za pielgrzymami, jadącymi do dyplomatycznego papieża po błogosławieństwo, określają wybornie cienkość włoska, na którym wisi pokój europejski. Co to za straszne życie z taką niepewnością jutra, z takiem przeświadczeniem, że losy narodów cywilizowanych zawisły od jednej pogadanki kilku ludzi u wód, a właściwie od jednej woli srogiego starca! Miliony ludzi myślą, pracują, czują, stawiają

sobie cele i ideały, naraz wszystko to jednem słowem zburzyć może owa niszcząca wola i cisnąć na świat burzę i pioruny. Zdawałoby się — i nawet tak zwykliśmy mówić — że równowaga życia zbiorowego jest wypadkową jego sił, tymczasem Europa, mimo innych pozorów, nie wyszła dotąd z okresu gospodarstwa samowoli jednostkowej. Czy ona ma istnieć w dusznej ciszy, czy oddychać swobodnem powietrzem, czy mieć spokój, czy podrzeć się własnemi rękami — to zależy nie od niej, ale może od kilku grudek soli kissingeńskiej, od kilku komórek w mózgu jednego niemca!

Jak wobec ciężko chorego zapytujemy nieraz, na czem właściwie trzyma się jego życie, tak samo pytamy, na czem trzyma się obecny pokój europejski — i nie znajdujemy innej odpowiedzi nad tę, że jego oporą jest wyłącznie trójcesarskie przymierze. Bez tego związku „koncert europejski“ nie grałby nawet fałszywie ani doby. Pojmuje to kanclerz niemiecki i pomimo zboczeń wahadło jego polityki porusza się ciągle na tej stałej osi. Dopóki zaś ona nie pękła, możemy być pewni, że zegar Europy wskazywać będzie godziny pokoju, bez względu na to, kto pojedzie do Kissingen lub Wardzyna.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jak to łatwo było przewidzieć, Salisbury stanął na czele nowego gabinetu angielskiego i oddał wszystkie prawie teki tym samym osobistościom, które w r. z. podczas rządów zachowawców już je piastowały. Hartington, któremu ofiarowano godność pierwszego ministra, nie przyjął tej propozycyi, zobowiązał się jednak popierać gabinet pod warunkiem, że bez uprzedniego porozumienia się z umiarkowanymi liberałami, rząd nie uczyni żadnych kroków w sprawie irlandzkiej. W polityce zagranicznej zmiana gabinetu nie zdążyła się jeszcze odbić, chociaż tu właśnie skutki jej mogą być najbardziej donioslymi. Odroczenie regulacyi granicy afgańskiej i przypisywany Rosyi zamiar zajęcia portu Łazarewa w Korei, nie są rezultatem zmiany rządu w Anglii, ale zmiana ta wpłynie bezwątpienia na przebieg tych wypadków.

Dziennikarze starają się teraz odgadnąć, o czem Bismark mówił z Kalnokym na zjeździe w Kissingen i o czem mówić będzie z p. Giersem, który go również w tych dniach odwiedzi. Gazety urzędowe powtarzają zapewnienia przyjaźni, ale nietylko niezależne, lecz i półurzędowe nawet nie łudzą się tymi pozorami. Wielkie manewry, które odbyć się mają w końcu lata i przedstawiać niby generalną próbę wojny z „przyjaciołmi,“ nie są bynajmniej objawem, wróżącym pokój. Dla manewrów tych wybrano właśnie prowincye pograniczne, w których nastąpi kiedyś tak długo odraczane spotkanie. Nawet Bułgarya powołuje rezerwy i urządza także wielkie manewry — na małą skalę. Istnieją wszakże i objawy uspokajające, jak np. wspomniana podróż p. Giersa i odwiedziny dworu rosyjskiego przez arcyksięcia Karola Ludwika.

Niemcy, które czujnie uchem strzygą na najmniejszy szmer w sąsiedztwie wschodniem lub zachodniem, gniewają się teraz na francuzów za to, że przy odsłonięciu pomnika dla Chanzy'ego, urządzili owacyę generałowi Frederiksowi, pełnomocnikowi wojennemu rosyjskiemu i wydawali okrzyki na cześć Rosyi.

Rząd francuski jest teraz w kłopocie, ponieważ wielu ambasadorów i członków poselstw podało się do dymisyi z powodu wydalenia książąt. Kandydatów nie brak wprawdzie, ale niema pomiędzy nimi osób odpowiednich do zajęcia stanowisk, które wymagają pewnej rutyny dyplomatycznej.

W Amsterdamie w ciągu dni kilku trwały zaburzenia, które nazwać można prawdziwą rewolucyą. W ostatnim miesiącu agitacya socyalistyczna w Holandyi zaczęła występować otwarcie i przywódcy partyi ludowej starali się wywołać rozruchy. Policya, jak zwykle, dopomogła im do tego. Bez żadnego powodu władza zabroniła obchodu święta narodowego, zakaz ten oburzył ludność Amsterdamu, na ulicach wzniesiono barykady, zaczęły się bitwy z wojskiem i policyą, które trwały dni dwa i skończyły się „zwycięztwem porządku,“ okupionem jednak dosyć drogo. Niewiadomo jeszcze, czy sprawa skończy się na tem, socyaliści bowiem zapowiadają zwołanie wielkiego zgromadzenia ludowego, które policya zechce prawdopodobnie rozpędzić, co da znowu powód do walki ulicznej.

Burzą się nietylko flegmatyczni holendrzy, ale i spokojni duńczycy. Prezes polketingu Berg, wypuszczony został z więzienia, w którem spędził sześć miesięcy. Dla uczczenia uwolnionego męża stanu, zwołano wielki wiec ludowy, na którym Berg gwałtownie przemawiał przeciw rządowi.

O sprawie batumskiej — cicho, utonęła ona w zapomnieniu, z którego jednak w odpowiedniej chwili z pewnością wypłynie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Drezno, lipiec, 1886.

I.

Wakacye.— Jubileusz heidelberski. — Matrykuły Töpkego. — Polacy w Heidelbergu. — Zjazd oryentalistów w Wiedniu. — Mityng drezdeński. — Kamienie i mumie przemawiają. — Beczki z drzewa rzymskiego. — Sezostrys jak wygląda?

Kto żyje, jak my, w „wieku nerwowym,“ musi przedewszystkiem pomyśleć o wypoczynku. Właśnie teraz nadchodzi chwila jego: po długich zimnach i deszczach słońce i ciepło zabłysły; każdy śpieszy wysuszyć się, ogrzać i odpocząć; jedni dążą na wieś, inni na przedmieścia, szczęśliwi do Szwajcaryi. Ale i wśród tego mniemanego wypoczynku różne pokusy pociągają do szukania nowych wrażeń. Jedni puszczają się nad smutnej pamięci jezioro bawarskie, aby się przyjrzeć tłu niedawnej katastrofy; inni zdążają do Bayreuthu, gdzie Parsifal i Trystan wabią czarem dziwnej swej muzyki; są i tacy, co nie mogąc pierwej być obecnymi w Berlinie na otwarciu wystawy malarstwa, śpieszą tam choć w upały, aby się przekonać, że palmę pierwszeństwa w sferze malarstwa historycznego ten raz zdobył Matejko; a kogo dawne wspomnienia wiążą z wszechnicą heidelberską, ten się wybiera na 2 sierpnia nad Nekar, bo tam uroczyście obchodzona będzie pięćsetletnia rocznica założenia uniwersytetu.

Łączą i nas z nim starsze i nowsze wspomnienia. Ze świeżo ogłoszonej przez Töpkego matrykuły tej wszechnicy (dotychczas od r. 1386 do 1662, dwa grube tomy) widać, że polaków do połowy XVII wieku uczyło się tam do czterechset; następne tomy okażą, że i później, szczegól-

1)

POWIEŚĆ.

PRZECIĄGNIĘTA STRUNA.

I.

— Tak, mateczko, opuszczam cię na trzy dni. Jadę i wracam, aby cię ucałować. Za miesiąc biorę urlop i znów spędzimy razem kilka tygodni. Od powrotu z zagranicy zaledwie dni parę mogę ci darować. Zajęcie moje wymaga ciągłego pobytu w Warszawie, a wiesz, mateczko, jak ci świeże powietrze służy. Nigdybym nie pozwolił, abyś się dusiła w mieście w ciągu letnich miesięcy. Przez tyle lat poświęcałaś się dla mnie, teraz odpoczywać musisz.

— Pociąg do Warszawy odchodzi! — rozległ się głos woźnego kolejowego.

Dzwonek zadźwięczał trzykrotnie. Na platformę stacyi X. wysypali się pasażerowie, jak pszczoły z ula. Mała stacya ożywiła się na parę minut, aby znów zapaść po chwili w stan ciszy i spokoju.

— Do widzenia, mateczko.

— Do widzenia, mój Jerzy, do widzenia.

Młodzieniec wskoczył do wagonu. Rozległ się świst lokomotywy. Pociąg ruszył majestatycznie, pozostawiając za sobą chmurę dymu i pary. Staruszka stała długo na platformie, uśmiechając się do młodzieńca, który z okna wagonu przesyłał jej od ust pocałunki.

Jerzy odwrócił się od okna i spostrzegł, że nie był sam. W drugim końcu wagonu siedziała kobieta. Na ciemno-purpurowem tle aksamitnych poduszek wagonu rysował się profil uderzającej piękności, jak pompejańska kamea, odskakująca wybitnie od ciemnego tła medalionu. Maleńkie, rozchylone usteczka ukazywały szereg perłowych ząbków. Nosek, jak z marmuru wykuty, o silnie rozdętych nozdrzach, dowodził temperamentu namiętnego. Zwoje kruczych włosów okalały twarzyczkę, harmonizując z nieposzlakowanej przezroczystości cerą, jakby przyciemnioną od silnych promieni słońca, cerą właściwą namiętnym mieszkankom okolic Rzymu. Eleganckie ubranie uwydatniało wspaniałą budowę ramion i piersi, wznoszących się z oddechem i opadających łagodnie, jak fala uciekająca i powracająca znowu, kołysana lekkim podmuchem wiatru...

Zdawała się marzyć rozkosznie... Promienie słońca, wpadając przez okno wagonu natrętnie, uderzały ją prosto w oczy. Odwróciła główkę i, przytulając pieściwie twarz do poduszki ruchem leniwym i miękkim, starała się uniknąć palących promieni, jak dziecko, tuląc się do piersi matki, a szukając dogodniejszej dla drzemki pozycyi.

Natury wrażliwe przed Madonną Sykstyńską stają w niemym zachwycie nad tą, jak ją ktoś nazwał, przecudną Wenerą chrystyanizmu. Z oddechem zapartym, wpatrując się w ideał harmonii i wdzięku, zapominają o idei, podziwiają kształty. Jerzy opuścił się na poduszki wagonu, podparł głowę na ręku i utkwił w nią wzrok uparty, przejęty podziwem. Spotykał setki kobiet uroczych i pięknych, ajednak żadna nie pochłonęła go tak zupełnie, nie przykuwała go tak do siebie. Odezwało się w nim uczucie jakieś, co spało dotąd: dobór naturalny, niewyrozumowany, co sprawia, że z tysiąca kobiet wybieramy jedną i mówimy: „ta — lub żadna.“ Czuł, że po linii wzroku kobieta ta wchodzi w jego

nie w bieżącem stuleciu, bawiła tam na naukach wielka liczba rodaków naszych.

W pierwszym już roku po otwarciu szkoły znalazł się w niej jeden, jak się zdaje, polak, niejaki Jan Textorius (syn tkacza) z Gury (dzisiejsze Guhrau, pod Wrocławiem); w następnych latach kilka jeszcze nieznanych skądinąd imion polskich tam spotykamy; lecz później, przez ciąg XV wieku, nie widać żadnego; nie dziw, bo od początku wieku XV Polska posiada własną już wszechnicę w Krakowie, a kto pragnie poznać nauki zagraniczne, ten woli jechać do sławnych naówczas szkół włoskich.

Dopiero od połowy w. XVI ilość polaków w Heidelbergu wzrasta nagle i dochodzi w pierwszej ćwierci w. XVII znacznych rozmiarów. Uniwersytet tamtejszy stał się właśnie w drugiej połowie XVII stulecia jednem z europejskich ognisk kalwiństwa; młodzież polska, należąca do domów protestanckich, szukała za granicą wyższych szkół nowowierczych, bo tych w kraju nie było; mnóstwo więc naszych udawało się do Lipska, Heidelberga, Bazylei itd. To też w matrykule heidelberskiej spotykamy imiona wielu wsławionych potem u nas ludzi, oraz licznych synów najpierwszych naszych magnatów; dość wspomnieć Jana Łasickiego, Stanisława Zawadzkiego, Tomasza Węgierskiego, Piotra Siestrzeńcewicza, Marka Sobieskiego, Firlejów, Ostrorogów, Sieniutów i wielu innych.

Ale nie same tylko imiona zamieścił Töpke w swoich wypisach z akt wszechnicy; są tam gdzieniegdzie ciekawe wzmianki o zajściach pomiędzy młodzieżą naszą a miejscową, o różnych odznaczeniach i wybrykach rodaków naszych, o wysokiem poważaniu, jakie w Heidelbergu posiadali Radziwiłł i Firlejowie, kiedy jednego z nich około r. 1603 zamierzano obrać rektorem; szczupłe ramy listów moich nie dozwalają mi przedstawić całego a dość zajmującego zasobu, wysnuć się dającego z dotychczas ogłoszonych matrykuł; nie zaniedbam gdzieindziej wyczerpująco materyały te zestawić.

Dochodzą mię wieści prywatne, że uniwersytet krakowski, wbrew poprzedniemu zamiarowi swojemu, nie wyszle delegacyi na obchód heidelberski. Szkoda! Zdaniem mojem wypadałoby to uczynić, choćby dla tego, żeby okazać iż umiemy odróżniać neutralne pole nauki od zatargów życia codziennego i czuć wdzięczność za przytułek i światło, gościnnie udzielane niegdyś naszym rodakom pod skrzydłami wszechnicy Palatynatu. Ale to byli heretycy!... To prawdopodobny powód zmiany zamiarów krakowskich. Czy i Lwów nie da znaku życia?

Tymczasem Heidelberg gotuje się na przyjęcie licznych gości: urządzić ma pochód pięciu wieków, wyrażonych symbolicznie głównemi osobistościami, które mniej lub więcej miały styczności ze szkołą główną; będą akta uroczyste, mowy, niezbędne w takich razach uczty, pijatyki, przechadzki lądem i wodą, wycieczki; będzie teatr, dużo muzyki; rozdadzą sporo dyplomów doktorskich *honoris causa*; wydrukuje się kilkadziesiąt broszur i książek ad hoc; wyjdzie kilka numerów dziennika ilustrowanego z odpowiedniemi wierszami, artykułami itd. W następnym liście moim postaram się opisać te festyny, bo, jako stary student heidelberski, czuję się obowiązanym bierny przynajmniej w nich przyjąć udział.

Na koniec września zapowiedziany jest zjazd wschodoznawców w Wiedniu; będzie to z kolei siódmy; szósty odbył się r. 1883 w Lejdzie. Tegoroczny zapowiada się dość świetnie.

Bądź co bądź, odbędzie się on z pewnością pomyślniej i spokojniej, niżeli zwołany tutaj w Dreźnie przed kilku dniami mityng socyalno-demokratyczny. Poseł berliński Hasenclever mówił na nim całą godzinę o ruchu robotniczym w stosunku do świeżo uchwalonych ustaw sejmu rzeszy (było tam przeszło 2,000 osób). Prawilby on zapewne dalej; ale gdy zaczął ostro krytykować rozporządzenie o bezrobociach ministra Puttkamera, komisarz policyi rozwiązał zgromadzenie. Przybrało ono skutkiem tego groźną postawę, głośno okrzykiwało mówcę i niechętnie salę opuszczało; nie obeszło się bez ofiary, tym razem jednak nie była ona krwawą: padł jeden tylko... piec, obalony przez tłoczącą się u wyjścia publiczność.

Że niektóre okolice Niemiec, a w szczególności tutejsze i lipskie, słyszą od czasu do czasu podziemne huki wulkaniczne socyalizmu, to nie jest dla nikogo tajemnicą. Czy i kiedy wybuch nastąpi, o tem oczywiście wie tylko muza historyi, która niedawno zapisała na tablicach swoich krwawe rozruchy belgijskie.

Tymczasem jednak, dopóki „porządek“ panuje, z wnętrza ziemi i z otchłani piramid wyzierają spokojne duchy przeszłości. Przybywają codzień nowe odkrycia zabytków dziejowych, posiłkując mową kamieni skąpo wskazówki książkowe.

O niezmiernie ważnem odkryciu ogromnego napisu na płytach jakiegoś amfiteatru na Krecie musiał już czytelnik mój czytać lub słyszeć; przypuszczam że wie także o znalezionych w Paryżu ułamkach prozy łacińskiej, przypisywanych Salustyuszowi; do najnowszych należą słupy mostowe w Moguncyi i obnażenie mumij prastarych królów egipskich.

Że olbrzymie pale, które podtrzymywały most rzymski na Renie, przetrwały w wodzie do naszych czasów, to jeszcze nie zdziwi nikogo: ale to trochę zgorszy, że popiłowano je na klepki i porobiono z nich beczki na wino reńskie. Doprawdy, bez dwuznacznika powiedziedzieć można, że chyba bednarzom tym klepki brakowało...

O zbadaniu trzech nowych mumii w Kairze przynosi wiadomość jeden z ostatnich numerów tygodnika angielskiego *Academy* (z 3 lipca). Podaję ją w postaci obszernego protokółu, spisanego urzędownie 1 czerwca przez prof. Maspero, dyrektora sławnego muzeum w Bulaku.

Oddawna już domyślano się w trzech niezbadanych jeszcze mumiach znaleźć ciała króla Ramsesa II (Sezostrysa) i królowej Nofritari, żony Ahmosa I; nareszcie na 1 czerwca naznaczono dowodne przekonanie się o tem. Dnia tego, w sali „mumij królewskich,“ zgromadziły się znakomitości egipskie, pomiędzy niemi wice-król i Brugsch-bej; Maspero przystąpił do zbadania szczątek, zachowanych od lat przeszło 3000.

Pierwsza mumia okazała się istotnie ciałem Ramsesa II. Twarz jego zachowała się wybornie, nawet włosy na głowie nie uległy zniszczeniu. O rysach jego tak mówi Maspero: wyraz twarzy nie bardzo myślący, trochę nawet zwierzęcy, z wyraźnemi znamionami pychy, uporu i bezgranicznej samowoli; budowa ciała olbrzymia, okazująca wychudłego ale krzepkiego starca.

Przy otwieraniu drugiej mumii, spotkał widzów zupełny zawód: po rozwinięciu powijaków, ciało w niej zawarte rozłożyło się tak szybko, że nic prócz kupy czarnej zgnilizny i straszliwego fetoru po niem nie zostało.

Trzecia dostarczyła też licznych wrażeń. Myślano, że się okaże w niej ciało królowej Nofritari; spodziewano się że autopsya przekona, czy była murzynką, czy też egipcyanką, o co oddawna się sprzeczano. Tymczasem okazało się, że to nie ona, lecz następca Ramsesa II, Ramses III. Twarz jego, jak mówi Maspero, zdaje się bardziej inteligentną i delikatniejszą od tamtego; całe ciało mniejsze i szczuplejsze.

---

krew i duszę, bierze go w posiadanie, ujarzmia bez walki.

Nagle dał się słyszeć świst gwałtowny. Pociąg, pędzący z przeciwnej strony, jak bestya apokaliptyczna przeleciał, świszcząc przeraźliwie. Kobieta, przebudzona ze snu, przerażona i wylękła rzuciła się przed siebie, a chwytając bezwiednie rękę Jerzego w swe drobne dłonie, posłała wzrok przerażony w stronę przyczyny przestrachu. Po chwili przyszła do siebie i zwracając na Jerzego swe czarne, wilgotne, aksamitne oczy, zmięszana swem położeniem, zapłoniona i drżąca jeszcze — cofnęła rękę, wołając:

— Ach!.. panie!..

Jerzy uśmiechnął się mimowoli.

— Ależ to nic... niech się pani nie obawia; pociągi się mijały... widocznie byłaś pani w głębokim śnie pogrążona.

Piękna nieznajoma przychodziła powoli do siebie.

— Jeszcze mi serce bije... co za straszny hałas!.. — mówiła, poprawiając maleńką rączką nieład we włosach i ubraniu — tak, zasnęłam... z nudów... od granicy sama jedna siedziałam w wagonie. Potrzymaj mi pan torebkę... tak... dziękuję. Szukam wody kolońskiej... ach... pozwól pan; skropię panu ręce, musiałeś się także dobrze przestraszyć... Zdawało mi się, że się pociąg rozbija. Ależ nie uważałam, kiedy pan wsiadłeś?..

— W X.

— A!.. ależ to długo spałam. Doprawdy, będziesz się pan śmiał ze mnie; musiałam ładnie wyglądać, szukając w przerażeniu pańskiej opieki. Już drugi dzień jestem w drodze, nic dziwnego, że znużona zasypiam co chwila... radabym w jednej chwili dostać się do domu. Co za szczęście, że już niedaleko. Pan do samej Warszawy jedzie?..

— Tak, pani. Mieszkam tam stale.

— A... więc w X. masz pan znajomych tylko?..

— Matkę.

— Matkę, która pana kocha, rozumie się... Mój Boże, co za szczęście mieć jeszcze kogoś, co nas kocha bezinteresownie. Ja bo nie mam nikogo. Odpłacam się też pięknem za nadobne; kocham tylko moją papugę i zdaje mi się, że ona także przywiązana jest do mnie. Niestety, kiedy mnie nie potrzebuje, gryzie niezmordowanie...

Szczebiotała jak ptaszę wśród zielonej gęstwiny, napawając się wonią wody kolońskiej, lub chłodząc wachlarzem piękną twarz, zarumienioną od snu i świeżo odebranego wrażenia, wdychając pełną piersią powietrze, przesycone zapachem siana, kwiatów, lasów jodłowych i świeżo zoranej ziemi. Rozmawiali o wszystkiem i o niczem, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, jak motyle z kwiatów na kwiaty. Pociąg pędził i huczał: przystawał na stacyach i leciał dalej. Powóz rzucał się wprawo lub wlewo, porywany równomiernemi uderzeniami pary. Ciężkie, gorące powietrze lipcowego wieczoru upajało i wprowadzało ciało w stan pół-snu, pół-jawy — stan, w którym sądzimy powierzchownie o przedmiotach, nasuwających się oku, kiedy się wegetuje, lecz nie myśli; sądzi — nie rozumiując; a piękna kobieta, siedząca naprzeciwko, odurza zmysły, pociąga, otacza siecią pajęczą swych wdzięków system nerwowy, porusza wszystkie włókna ciała, usypiając władze rozsądku i umiarkowania.

Pociąg dochodził do kresu podróży. Stacya zdaleka jaśniała setkami rewerberów, pełna oczekujących na przybyłych. Kobieta powstała i skłoniwszy się Jerzemu głową na pożegnanie, wyjrzała przez okno wagonu. Jerzy doznał wrażenia bólu i tęsknoty na myśl, że to zjawisko, napotkane

Obie te mumie wystawione odtąd będą z twarzami obnażonemi, pod szkłem, w sali muzeum kairskiego.

Jan Karłowicz.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PROJEKT USTAWY RZEMIEŚLNICZEJ.

Jeszcze w 1884 r. Towarzystwo popierania przemysłu i handlu przedsięwzięło zbadanie naszych stosunków rzemieślniczych i w tym celu rozesłało kwestyonaryusz, na który odpowiedzi dostarczyć miały wskazówek co do środków usunięcia jakiegoś tajemniczego „zła, trapiącego rękodzielnictwo krajowe“ i podniesienia przy tej sposobności stanu rzemiosł.

Jeżeli sprawa podniesienia rzemiosł miała być celem głównym tej „ankiety,“ to należało przedewszystkiem poznać stan ich obecny. Nie uczyniono tego jednak, kwestyonarz zaś ułożono w ten sposób, że zapytywani majstrowie, czeladnicy i osoby „zajmujące się losem rzemiosł“ wydawali sądy w sprawach gospodarstwa narodowego, polityki ekonomicznej, prawodawstwa nawet, t. j. mówili o rzeczach, które obchodzić ich mogą, ale w których nie są chyba biegłymi. Żądania, wyrażone w odpowiedziach, sprowadzić się dają do 4 punktów:

1) Wyższe wykształcenie fachowe i ogólne rzemieślników.

2) Silniejsza spójnia związków między nimi.

3) Zabezpieczenie bytu w razie choroby i na starość.

4) Dogodniejszy i szybszy (?) wymiar sprawiedliwości w sprawach wzajemnych stosunków między rzemieślnikami.

Dla rozpatrzenia tych żądań wybrano delegacyę, złożoną z 17 osób, między któremi znajdują się i ekonomiści, i przemysłowcy, i wreszcie rękodzielnicy, a raczej właściciele rękodzielni. Zachowano nawet względy przyzwoitości i wzywano do narad czeladników, ale, rozumie się, głosy ich brano tylko „pod uwagę.“ Delegacya po pewnym namyśle doszła do przekonania, że „przy obecnym układzie stosunków państwowych i społecznych“ podniesienie rzemiosł, z zachowaniem warunków wyżej wskazanych, da się jedynie uskutecznić za pomocą wprowadzenia obowiązkowych stowarzyszeń, opartych, na istniejących dotychczas „zgromadzeniach rzemieślniczych,“ które uledz powinny wszakże gruntownym zmianom. W rezultacie zaś zmiany te polegają na przerobieniu Ustawy o zgromadzeniach rzemieślniczych z 1816 r. Na czem polega ta reforma, powiemy niżej, tu zaś dodamy jeszcze kilka uwag ogólnych o działalności delegacyi.

Przedewszystkiem członkowie jej nie zastanowili się nad pytaniem: o co im chodzi; czy o podniesienie stanu rzemiosł, czy też o poprawę położenia rzemieślników, chociaż w obu wypadkach ograniczanie swej pracy jedynie do przerobienia, chociażby zasadniczego, ustawy jest błędnem. Jeżeli mówimy o podniesieniu rzemiosł u nas, to można brać na uwagę tylko stronę ich techniczną, do czego żadna ustawa nie przyczyni się chyba w dostatecznej mierze. Podniesienie przypuszcza pewien upadek, który zależny być może albo od względów technicznych, albo też od warunków ekonomicznych, bądź to czasowych i zmiennych, bądź też trwałych, określających przebieg zjawisk gospodarczych. Ulepszenia w technice rękodzielniczej, jakkolwiek dosyć ściśle związane są z ogólnym poziomem kultury narodu, mogą być przyspieszone za pomocą użycia odpowiednich środków, do których nie należą jednak ustawy, lecz np. bezpłatne kursy wieczorne, szkoły fachowe, wystawy, muzea itp. Jeżeli zaś upadek rzemiosł pochodzi z przyczyn ekonomicznych zmiennych, jest skutkiem powszechnego przesilenia w przemyśle, również ustawa oddziałać tu nie może — w danej chwili wcale, gdyż przyczyn najbliższych nie usunie, w przyszłości zaś bardzo słabo, bo przesilenia są wynikiem ogólnych zasad obecnej formy ustroju społeczno - gospodarczego. Tembardziej powtórzyć to można, jeżeli upadek rzemiosł jest objawem działania pewnych praw ekonomicznych, jeżeli nie mogą one wytrzymać współzawodnictwa z przemysłem maszynowym, fabrycznym. Zwycięskiego pochodu wielkiej produkcyi nie powstrzymają żadne ustawy, chociażby całe ich tomy rzucano pod koła tryumfalnego wozu, wraz z objaśnieniami teoretycznemi p. Makowieckiego i przytoczeniami z Brentana, Schippla i innych socyalistów katedrowych.

A może delegacyi chodziło o podniesienie społecznego i materyalnego położenia klasy rzemieślniczej? Tutaj ustawa miałaby pewne pole działania, ale wtedy, gdyby przy tworzeniu jej pamiętano, że i w rękodzielnictwie są również przedsiębiorcy i robotnicy, których interesy nie zgadzają się wcale. Majster, chociaż nawet sam pracuje, jeżeli tylko posiada najemnych czeladników i uczniów, jest także kapitalistą, tylko że część dochodu czerpie z pracy własnej; tembardziej właściciel rękodzielni, który zwykle kieruje jedynie przedsiębiorstwem. Można więc stać albo na stanowisku majstrów, albo bronić interesu robotników, lecz niepodobna tych sprzecznych dążeń godzić w jednej ustawie.

P. Makowiecki w „objaśnieniach“ szeroko rozwodzi się nad współczesnymi prądami w ekonomii i polityce ekonomicznej, usiłując skierować tę wodę na młyn zakazów i ograniczeń. Zresztą czyni on to, co czynią wielcy mężowie stanu i poważni uczeni, zwłaszcza w Berlinie i oficynie pruskiej — Wiedniu. Schippel, Lange a nawet Brentano zdziwili by się jednak, gdyby uwagi swe o złych skutkach nieograniczonej wolności ekonomicznej ujrzeli w takiem zastosowaniu, jakie daje im polski komentator. Autorowie ci inaczej bowiem rozumieją zniesienie bezwzględnej swobody ekonomicznej, a „opiekuńczą działalność państwa“ opierają nietylko na „bateryi przeróżnych ograniczeń“ lub zakazów. Bezwątpienia taki prąd reakcyjny istnieje wszędzie, najszerzej rozlał się w Niemczech, lecz dziś nikt już nie widzi w nim zbawienia ekonomicznego. Skrzyżowanie średniowieczczyzny z socyalizmem daje potwornych bękartów, u których zresztą z wiekiem występują coraz wyraźniej właściwości matki, znika zaś zupełnie podobieństwo do ojca. Taki charakter objawia wydana niedawno austryacka ustawa rzemieślnicza, na którą zapatrzyli się widocznie brzemienni obecnym projektem reformatorowie warszawscy.

Zmieniona ustawa żąda, aby do zgromadzeń należeli wszyscy bez wyjątku rzemieślnicy, bez różnicy płci i wyznania. Znosi ona wolność zarobkowania, czyniąc je zależnem od wykupienia patentu i złożenia egzaminu. Jest to więc wskrzeszenie cechów, tylko pod inną nazwą, z zachowaniem nawet hierarchicznego podziału na majstrów, czeladników (towarzyszów) i uczniów. Zarząd zgromadzenia składać mają delegaci od majstrów i czeladników, przyczem pierwsi posiadają o jeden głos więcej. Po nad wskrzeszonymi cechami wznosić się będzie ogólny zarząd rzemieślniczy, w którym zasiądą już tylko majstrowie. Zakłady fabryczne wyłączone są od uczestnictwa w zgromadzeniach. Nakoniec ustawa zamierza uczynić obowiązkowem utrzymywanie szkół fachowych i proponuje utworzenie sądów rzemieślniczych, którym poddawanoby spory pomiędzy majstrami i czeladzią.

Pojedyncze paragrafy starej ustawy podległy wielu zmianom, ale nie koniecznie na lepsze, projekt bowiem utrzymuje w całej pełni ustrój hierarchiczny stosunków rzemieślniczych. Sądy cechowe wzmocniły by tylko przewagę przedsiębiorców, zamknięty charakter zgromadzeń i usiłowania wyzwolenia ich z pod kontroli państwowej i społecznej sprzeciwiają się właśnie nowym zasadom ekonomicznym, których wyznawcami mianują się twórcy projektu. Kasy pomocy wreszcie, według brzmienia ustawy, będą raczej instytucyami dobroczynnemi, aniżeli społecznemi.

Można by się zgodzić na korporacyjną wyłączność zgromadzeń rzemieślniczych, gdyby działalność ich przybrała jakieś szersze rozmiary, gdyby np. — jak tego żądali niektórzy autorowie odpowiedzi — stały się one wielkimi związkami wytwórczymi, chociaż i wtedy hierarchiczna zasada ustroju byłaby szkodliwą i wsteczną. Organizacya rękodzielników wtedy bowiem jest potrzebną, kiedy broni pracy od przewagi kapitału, znosi bowiem choć w części niedogodności, wynikające z tego faktu, że praca jest towarem sprzedawanym na rynku, jak każdy inny. O tem autor „objaśnień“ mógł przeczytać w dziele Brentana szereg trafnych uwag. Rozumie

---

tak przypadkowo, zniknie, zabierając mu jego duszę. Na dywanie leżała gałązka jaśminu, przyszpilona przed chwilą do piersi nieznajomej. Jerzy podniósł ją machinalnie, napawając się silną wonią rośliny.

— *Tiens...* — odezwał się głos za oknem wagonu — *c'est vous, chère belle!..* Jakżem szczęśliwy, że pierwszy powitać panią mogę... Zawsze piękna, zawsze wspaniała... w domu, czy w podróży — *admirable...* Natychmiast otwieram... służę pani!.. Odzyskujemy panią przecież i to na długo — *j'espère...*

Nieznajoma podała rękę mówiącemu te słowa i, zbierając fałdy obcisłej sukni, skoczyła lekko ze stopni; poczem, pożegnana przez uprzejmego mężczyznę, porwana falą zmierzających ku wyjściu, znikła w tłumie.

Jerzy stanął, ukłuty w samo serce. Ton, jakim ów głos mu znajomy przemawiał do tej kobiety i sposób zachowania się wobec niej zdawał mu się dla niej obrazą. Z bijącem sercem wybiegł z wagonu.

— January... — zawołał, poznając dawnego, od lat dziecinnych przyjaciela — proszę cię, jedno słowo... ta kobieta?..

— Co za kobieta?..

— Ta, którą witałeś przed chwilą. Jechałem z nią w jednym wagonie, jak widzisz. Kto ona?..

Przyjaciel spojrzał nań badawczo.

— I ty także, biedaku... — rzekł powoli — i ty także lecisz, jak ćma do światła, przy którem sobie skrzydła opalić możesz. Ta kobieta — to Marya... ostrożnie, przyjacielu! To twarz cheruba — a dusza zalotnicy. Kaprysy jej nie mają granic. Dziś fantastyczna i niedostępna, jak górska koza; jutro rujnuje moralnie tych, co mają nieszczęście zbliżyć się do niej.

Jerzy ruchem gorączkowym cisnął trzymany w ręku kwiat i zdeptał go w błocie. Zdawało mu się, że wszystka krew zbiegła mu do serca. Ujął pod rękę przyjaciela i zwrócił się ku wyjściu. Rzucił się do powozu i przyciskając obiema dłońmi pałające skronie, złamany i nieszczęśliwy w tej chwili, wyszeptał:

— A jednak... jednak... życie za tę kobietę!..

(D. c. n.).

się, że taka organizacya rzemieślnicza zależną jest tylko od woli państwa i przy jego współudziale jedynie możliwą. Skromna delegacya Towarzystwa przemysłu i handlu nie mogła marzyć nawet o tego rodzaju reformie, podjęła ona zadanie daleko mniejsze, ale wybrała dlań drogę niewłaściwą, ustawy bowiem piszą prawodawcy. Jeżeli brano na uwagę trudności położenia, jeżeli liczono się z względami praktycznymi, to i w takim razie owa droga nie jest odpowiednią. Projekt bądź co bądź wnosi do ustawy z 1816 r. ważne zmiany, co do których poglądy władzy prawodawczej nie są znanymi. Jeżeli więc w sprawie podniesienia rzemiosł nie wymyślono niczego innego, oprócz reformy ustawy, i jeżeli przyjęto w rachubę warunki praktyczne, należało po prostu uzupełnić niektóre paragrafy, inne wykreślić, słowem możliwie przystosować istniejące prawo do okoliczności dzisiejszych, wtedy bowiem zatwierdzenie zmian byłoby bardzo prawdopodobnem. Obecnie zaś przerobiona ustawa pozostanie zapewne w dziedzinie projektów, jeżeli zaś ma mieć takie tylko znaczenie, można było nadać jej oparcie szersze, uczynić ją wzorową.

Jakkolwiek kwestyonaryusz ułożony był pobieżnie i stawił pytania w sprawach, jakie rzemieślnicy rozstrzygać nie są kompetentni, lub przynajmniej kompetentni są narówni z innymi członkami społeczeństwa, w nadesłanych odpowiedziach, o ile sądzić można z pobieżnego sprawozdania, poruszono wiele ciekawych zagadnień.

Wprawdzie obok wniosków rozumnych, znajdujemy tu i takie dziwolągi, jak np. zakaz używania maszyn, jeżeli nie ma braku robotnika, lub prośbę o wydalanie rzemieślników przybywających do Warszawy z prowincyi, ale są również uwagi bardzo trafne i to liczne. Zapytywano głównie zgromadzenia rzemieślnicze, nic więc dziwnego, że członkowie ich oświadczyli się za ograniczeniem swobody zarobkowania, w obronie której podnosili głos w delegacyi tylko pp. Rudnicki i Szwede. Ciekawa rzecz, że za zniesieniem zgromadzeń oświadczyli się czeladnicy. Autorowie projektu uwzględniali zawsze prawie życzenia większości, zapominając, że jest to większość przypadkowa, bo czyż ze stu kilkudziesięciu odpowiedzi można sądzić o zdaniu ogółu rzemieślników?

Sprawę podniesienia rzemiosł za pomocą zmiany ustawy nazwać więc można pomysłem chybionym, samą zaś reformę zgromadzeń krokiem wstecznym i szkodliwym, nie zgodnym ani z wymaganiami nauki ekonomicznej, ani z rozwojem naszego życia społecznego. Nie znaczy to jednak, żeby w projektowanych zmianach nie było stron dobrych, owszem są one i nawet w znacznej liczbie, ale tracą znaczenie wobec ogólnego charakteru ustawy, podtrzymującego średniowieczne, hierarchiczne zasady stosunków wzajemnych między rzemieślnikami. Zresztą projekt pozostanie zapewne projektem i w żadnym razie rzemiosł naszych nie podniesie, co prawda, trudno nawet mówić o podniesieniu, kiedy nie znamy wcale ich stanu.

P.

ROLNICTWO WE FRANCYI.

Paryż, 24 lipca.

Na krótko przed wczasem parlamentarnym, Izba francuska zajmowała się znowu cłami zbożowemi. W r. 1885 postanowiono opodatkować zboże, przywożone do Francyi, w wysokości 3 fr. od hektolitra. Obecnie domagano się podniesienia oplaty do 5 fr. Na żądanie ministra rolnictwa, wniosek został odesłany jeszcze do komisyi, tj. uchwałę ostateczną na czas jakiś odroczono.

Przedtem jednak odbyły się obszerne rozprawy, które sprawę nietylko już ceł, lecz wogóle gospodarstwa rolnego we Francyi, postawiły na porządku dziennym obrad parlamentarnych. Wypowiedziano przy tej sposobności wiele mów nieposlednej długości, które nic nowego nie przynosiły. Z pośród nich jednak wyróżniało się przemówienie młodego posła z republikańskiego obozu, Pawła Deschanela. Występował on po raz pierwszy, odrazu jednak zwrócił na siebie uwagę niepospolitym talentem krasomówczym, gruntowną znajomością przedmiotu i niezależnością sądu. Z niektórymi faktami i poglądami, wypowiedzianymi w toku tych rozpraw, poznajomię czytelników *Prawdy*, z wielu względów bowiem zasługującemi na uwagę.

W gorących tych zapasach sejmowych poruszono naprzód odwieczną kwestyę teoretyczną ceł i wolnego handlu. Od czasu, gdy za staraniem Roberta Peela i pod wpływem głośnego Klubu Cobdena zniesiono w Anglii (1846) cła zbożowe, sprawa ta nie schodzi z porządku dziennego i ułożyć by już można olbrzymią bibliotekę z dzieł lub broszur jej poświęconych. Wiadomo czem cła były po tamtej stronie cieśniny Kaletańskiej. Wielcy właściciele ziemscy, mający zapewnioną większość w obu Izbach, utrzymywali przy pomocy tej opłaty ceny zboża na znacznej wysokości, pobierając w ten sposób haracz od tych wszystkich, którzy ziemi nie posiadali. Przemysł tymczasem rozwijał się potężnie i potrzebował taniego robotnika; drożyzna chleba dawała się czuć dotkliwie klasom mniej zamożnym, przywilej zaś, polegający na opodatkowaniu kieszeni i głodnych żołądków na rzecz feudałów rolnych, był nadużyciem krzyczącem. Podniesiono wielki i słuszny krzyk, rozlegający się donośnie na falach wzburzonego liberalizmu — i cła zostały zniesione. Lordowie zresztą dali się przekonać, że korzystniej będzie dla nich przemienić niwy orne na pastwiska i produkować mięso, zamiast zboża. Wyrzucono tedy z dóbr ziemskich mnóstwo czynszowników, robiąc miejsce dla bydła i baranów, panowie właściciele kazali sobie przytem wypłacić milionowe zapomogi państwowe dla wsparcia rolnictwa, przechodzącego „ciężkie przesilenie organiczne“ i wszyscy byli nadzwyczajnie zadowoleni — z wyjątkiem oczywiście wyrzuconych czynszowników, mrących z głodu lub emigrujących do Ameryki. Ceny mięsa były ciągle wysokie, wzrastająca bowiem ludność miast spożywała go coraz więcej. Lordowie porobili milionowe fortuny; dziś zaś, gdy im za ciasno w starej Anglii, pozakładali olbrzymie fermy w Stanach Zjednoczonych i Indyach i współzawodniczą z Europą, która wykarmiła sobie tak groźnego przeciwnika. Z taniości chleba radzi byli także i fabrykanci, cena bowiem pracy robotniczej spada, jak wiadomo, do kosztów jej utrzymania.

Obalenie ceł zbożowych w Anglii roztrąbiono na wszystkie strony świata, jako zwycięztwo postępu i wolny handel stał się odtąd dogmatem ekonomicznego liberalizmu. Nie należy jednak zapominać, że było to przedewszystkiem zwycięstwo mieszczaństwa przemysłowego nad feudalizmem, a raczej układ zawarty między temi współzawodniczącemi klasami, układ, dla obu stron korzystny. Lordom odjęto tylko część renty, którą postarali się wrótce wielokrotnie pomnożyć. Szersze klasy ludności nic na tem nie wygrały, a nawet ucierpiały dotkliwie.

Idee wolnohandlowe przeniknęły z kolei na ląd stały, a przedewszystkiem do Francyi. W r. 1860 Rouher, naśladując Peela, przy rzęsistych oklaskach ekonomistów, postarał się o zniesienie ceł zbożowych. O co chodziło? O 20 milionów hektolitrów zboża węgierskiego i rosyjskiego, które dla francuskiego rolnictwa nie były zbyt groźne! Dziś te 20 milionów przemieniły się w 100 z czubem. Rzecz przytem szczególna, że gdy mowa o wolnym handlu, ekonomiści zawsze mają na myśli tylko zboże i wogóle produkty rolne — swoboda owa do wytworów przemysłowych wcale się nie rozciąga. Mieszczaństwo, jak wiadomo, wzrasta pod osłoną ceł protekcyjnych i dopiero wtedy się bez nich obywa, gdy nie potrzebuje lękać się żadnego współzawodnictwa. Głosi się wtedy wolność przywozu do krajów, które stoją na niższym szczeblu kultury przemysłowej. Przemysł francuski i dziś jeszcze nie dosięgnął największej wysokości rozwoju, gdy więc zawierano w r. 1860 traktaty handlowe, zniesiono cła na zboże, lecz zachowano je dla wielu wyrobów przemysłowych. Kiedy sprawę tę wówczas poruszono w Izbach, rolnicy domagali się, ażeby wynagrodzono ich za stracone korzyści, zachowując cła na produkty rolne, nie będące artykułami spożycia, jak ziarna oleiste, skóry, drzewo, len, konopie, wełnę, rośliny farbierskie itd. Przedstawienia atoli tego nie uwzględniono, wyroby te bowiem są materyałem surowym produkcyi fabrycznej, mieszczaństwo zaś, wspierane przez ekonomistów, było górą. Gdy następnie w r. 1880 odnawiano traktaty handlowe (od roku 1881—92), rolnicy znów upomnieli się o swe produkty niespożywcze, żądając, ażeby stawiano je na równi z wyrobami przemysłowymi. Ponownie odprawiono ich z kwitkiem, o sobie zaś nie zapomniano.

Tymczasem współzawodnictwo amerykańskie doszło do niezwykłych rozmiarów i produkcya rolna we Francyi zaczęła chromać. Spadły ceny zboża, a za niemi ceny dzierżaw i ziemi. W ciągu ostatnich lat sześciu uprawa zbóż zmniejszyła się we Francyi o 40,000 hektarów; rolnictwo, upośledzane systematycznie, głośno zaczęło wołać o ratunek, ponieważ zaś zbliżały się wybory i republikanie byli w obawie, że niezadowolnieni rolnicy wesprą opozycyę monarchiczną — uchwalono więc cła na zboże.

O ile środek ten jest skutecznym, wykazał poseł Deschanel. Koszta produkcyi jednego hektolitra we Francyi wynoszą 20—22 fr. — tymczasem zboże francuskie spadło w r. 1884 do 15 fr. za hektolitr. Amerykańskie z dostawą do Hawru kosztuje dziś 16 fr. 08 cent. za hekt., indyjskie w Marsylii 16 fr. 75 cent., cło przeto w wysokości 3 fr. z hektolitra okazuje się niedostatecznem do wyrównania warunków dla produkcyi francuskiej; ażeby wyrównanie to było zupełnem, należałoby, zdaniem rzeczonego posła, podnieść cło do 7 fr. 65 cent., na co zresztą Izba się nie zgodzi.

Mówca nie uważał cła na zboże za jedyny środek do podniesienia rolnictwa, lecz za środek najbliższy, będący pod ręką wobec tego, że zawarte już traktaty handlowe wiążą Francyę do r. 1892 i że państwo zrobiło dotąd bardzo niewiele dla podniesienia gospodarstwa wiejskiego. Czy pogodziliśmy — pytał on — nasz system fiskalny z postępem cywilizacyi i ułatwieniami dla kredytu? Czy poddaliśmy rewizyi, jak w Anglii, prawo, zapewniające dzierżawcom zwrot wyłożonych kapitałów? Czy zmieniliśmy prawodawstwo wodne na południu, które poświęciło rolników dla żeglugi, lubo ono dziś, po wybudowaniu dróg żelaznych, niema racyi bytu? Czy przyczyniliśmy się do zniesienia szachownic, utrudniających gospodarkę? Czy zorganizowaliśmy po wsiach pomoc publiczną na wzór miast? Czy daliśmy rolnikom przedstawicielstwo zawodowe, jakiem cieszy się handel i przemysł? Czy wydaliśmy zapowiadany kodeks rolny? Czy zrewidowaliśmy wadliwy kodeks procedury cywilnej? Czy zorganizowaliśmy kredyt rolny, jak w Anglii, Niemczech lub Włoszech? Czy zapożyczyliśmy u Stanów Zjednoczo-

nych wyborną organizacyę handlu zbożem? Czy upowszechniliśmy naukę rolnictwa wszystkich stopni? — Nie, nie pozostaje nam więc nic, jak zaprowadzić tymczasem cła, dopóki rolnictwo nie znajdzie w sobie dość siły do wytrzymania walki z krajami, uposażonymi pod tym względem nierównie lepiej.

Trudno nie zgodzić się z posłem francuskim. Wogóle w sprawie tej nie należy łudzić się fałszywymi frazesami mięszczańskiego liberalizmu. Trzeba przynajmniej rzecz stawiać otwarcie. Żyjemy dziś w okresie przewagi bogatego mieszczaństwa — wszystko więc dla niego i na jego korzyść! Kogoby takie hasło nie zadawalniało, ten niech się nie rozczula zbytecznie ani wolnym handlem, ani znoszeniem ceł. Mieszczaństwo rozwija się dziś na zachodzie kosztem różnych żywiołów, między innymi i kosztem produkcyi rolnej. Kto w tem widzi cel społecznego rozwoju, niech bije *brawo*. Wynikiem tego społeczno-dziejowego zwrotu jest także opustoszenie wsi na rzecz miast. Ludność wiejska we Francyi już za czasów cesarstwa zaczęła porzucać ziemię, ruch ten wzmaga się za czasów Rzeczypospolitej. Od roku 1871—76 przeniosło się do miast 40,000 osób, od 1876—81 — 80,000, od 1881—85 przeszło 1,000,000. Czy też emigracya jest objawem nieodzownym? czy cały lud wiejski ma przejść przez nieczyszczony filtr wielkomiejski i stać się armią proletaryatu, ażeby inne warunki bytu dla całego społeczeństwa wywalczyć? Pytanie to rzucamy tym, których sprawy podobne żywo obchodzą.

Zapominać jeszcze nie należy, że we Francyi drobna własność włościańska jeżeli nie przeważa, to w każdym razie licznie jest reprezentowaną. Gdy więc chodzi o ulgi lub ochronę dla rolników, nie idzie tu wyłącznie o lordów, lecz i o chłopski lud wiejski. Czy drobna ta własność się utrzyma i przejdzie wprost do wyższej formy kooperacyjnej, zależy to od wielu warunków i w żadnej księdze przeznaczeń o tem zgóry nie napisano. Tymczasem zaś stan tej drobnej własności nie jest bynajmniej kwitnącym, jak to wielu tendencyjnie przedstawia.

Pomówimy zresztą o tem innym razem.

E. P.

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA GNUŚNOŚCI.

I.

> Quid prodest mihi philosophia, si fatum est?
>
> Seneca. *Epist.*

Gdyby to pytanie wypisać na pierwszej karcie dzieła p. Dębickiego, praktyczna wartość książki leżałaby, jak na dłoni. Ale ponieważ: *Postęp, szczęście i przewroty społeczne* doznały tego nieczęstego w piśmiennictwie polskiem zaszczytu, iż zażądano w krótkim stosunkowo czasie ponownego ich wydania, wypada bliżej sąd powyższy usprawiedliwić, tembardziej, że książka zjawia się w otoczeniu całej girlandy pochwał, nieprzytomnych przy poprzednich pracach autora. Stanął on odrazu u szczytu sławy, w pewnych — rozumie się — kołach. Mianowano go półbogiem..

W każdym razie, jeżeli już p. Dębicki zbogacił przyszłą mitologię naszą, figurować w niej będzie raczej jako duch zagłady, niż jako bóg twórczości. Będzie to Setnie, Isys, Moloch — nie Adonis. Jak zwiastun ponury niedoli i potępienia, staje on przed nami; piorunującą mową otrzeźwia z różowych złudzeń, przypuściwszy, rozumie się, że są one udziałem czyimkolwiek, zdarłszy tęczową zasłonę z tragedyi tego padołu, ścina nam krew w żyłach widokiem jego nędzy bezgranicznej. Czyni zaś to wszystko prędko i bez frazeologii, dając wyborny skrót gorzkich żalów, które wyśpiewali już oddawna gdzieindziej pesymiści fachowi. Czytelnik uczuwa za to dla p. Dębickiego wielką wdzięczność, że nerwy jego niezbyt długo trzyma w naprężeniu. W istocie bowiem, dzisiejsza nauka o szczęściu albo raczej o nieszczęściu doszła do niesłychanej wprawy w wyliczaniu psot i figlów, jakie idea bezwzględna, niby dyablik złośliwy, płata biednemu człowiekowi. Pan D. dowiódł zarówno znakomitej rycerskości, jak i dobrego smaku — oszczędziwszy tej nudnej litanii. Na tem zyskały tylko jego fotografia ziemskich piekieł i w rzeczy samej zbliża się ona niekiedy do głęboko odczutej pieśni Hiobowej, choć nie wyśpiewanej na smętnej lutni proroka, lecz — darujcie proszę — wybębnionej gniewnym giestem, jak ongi dobosz La Grande przyszłemu poecie z Düsseldorfu pałeczkami po skórze napiętej wygrał rewolucyę francuską. Język tu dosadny, dowodzenie wolne od sztucznych rusztowań sofistycznych, pozwalają rzecz czytać chyżo, wrażają ją w umysł, ryjąc w nim dosyć głębokie bruzdy.

Zdemaskowany w ten sposób świat przedstawia się nie wesoło. Żyjemy na nim po to, by rychlej czy później umrzeć i w chwilach skonania, zwykle męczeńskich, srodze odpokutować za każdą okruszynę szczęścia. Natura fizyczna człowieka jest szczytem ułomności i w tym względzie najzupełniej licuje z jego organizacyą duchową. Obdarzeni jesteśmy sobkowstwem bez miary; w każdym z nas są ukryte szpony i dziób ostry drapieżnego ptaka, a choć wmawiamy w siebie i bliźnich, że czyny jednostki są zarazem dobrodziejstwem dla innych — kłamiemy po prostu, bo krwiożercze nasze popędy przy lada starciu interesów osobistych wyłażą na wierzch w całej swej nagości.

Cały żywot człowieka jest jednym długim łańcuchem katuszy, jeśli nie dla niego samego, to dla jego otoczenia. Wychowanie jest trudnym mozołem — dłuższym i uciążliwszym nieraz, niż rola matki przed wydaniem na świat dziecięcia, na które skazało ją nieubłagane *in dolore paries!* Plon wszystkich zabiegów rodzicielskich bywa niekiedy nader wątpliwy lub idzie na marne, a już całkiem rzadko okupuje włożony weń nakład starań i zabiegów.

Najlepiej wyposażony osobnik, przestawszy być brzemieniem dla gniazda swego, staje się ciężarem dla siebie — musi pracować. Trud — to powszechne fatum, nikt, prócz wyzutych z godności człowieczej, przed nim się nie cofa. Jakkolwiek wielu tę życiową pańszczyznę podnosi do apoteozy, jednak, pomimo całej swej moralnej wyższości i szczytności, praca była, jest i będzie wiecznie przymusem ze stanowiska wartości bytu, kto zaś nią gardzi, dla tego, że jej nie potrzebuje, z czasem wraca do tej jedynej przednudą, przesytem i bezcelowością istnienia ucieczki.

Przebywszy nareszcie tę drożynę górską, najeżoną ostrymi głazami, co chwila obsuwając się i kalecząc, zmęczeni, zniechęceni, stajemy u wierzchołka, który nam bynajmniej poniesionych wydatków sił nie wynagradza: starzejemy się. Jaką zaś parodyę siły, żywotności, swobody i szczęścia stanowi wiek podeszły — zbyteczna dowodzić; dosyć zatoczyć okiem dokoła, a hurmem zjawią się jaskrawe, żywe świadectwa w postaci chodzących ruin, zgrzybiałych duchów, których ludy pierwotne nie mają cierpliwości znosić i niemiłosiernie uśmiercają. Choroba jest nieodstępnym towarzyszem człowieka. W każdej chwili jęczą miliony po łóżkach szpitalnych, cierpiąc najbardziej wyszukane męki, a sztuka lekarska, która samochwalczo obiecuje ulżyć ich doli, sama sobie za pośrednictwem śmielszych swoich przedstawicieli daje *votum* nieufności.

Ta, z samych rozpaczliwych ustępów złożona, farsa jednostkowego niedołęstwa odgrywa się na szerszem tle, na rozleglejszej scenie, okalającej przyrody, która godnie swem okrucieństwem dotrzymuje placu tamtej. Natura na całym prawie globie pod pozorem powabem kryje mnóstwo zasadzek, których ofiarami padają tysiące niewinnych, lub przygotowuje straszliwe niespodzianki, krwawe ofiary, jak gdyby nadziemski Nero chciał za jej pomocą napawać oczy cierpieniem i zagładą; wstrząśnieniami grzebie w czeluściach ziemi całe kraje, orkanami zmiata z jej powierzchni miasta i gubi całe społeczeństwa, gorejącą zalewa lawą setki osad, zarazami opustosza najruchliwsze państwa, głodem morzy miliony.

Ludzie naśladują ten instynkt zagłady. Mają w sobie zaszczepione ziarna nienawiści i wzajem mordują się lub męczą, toczą długoletnie wojny, a nawet w chwilach odpoczynku grożą niemi sobie, jakby dążyli do powszechnej walki wszystkich z wszystkimi, kiedy już nie narody z narodami, lecz bliźni z bliźnim będzie się brał za bary.

Oto barwy, w jakich p. Dębickiemu przedstawia się nasz los. Czarne, bardzo czarne — nie ma co mówić. To już nie otchłań, ale — jak mówi Cieszkowski — ocean cierpienia, w porównaniu z którym rozkosz jest tylko morzem. Atoli, według autora, jest ona mniejszych rozmiarów — stanowi tylko kroplę.

Wszelkie przyjemności ciała i nerwów powszednieją nader prędko, zdolność nasycania się jest ograniczoną, albowiem organizm rychło tępieje i coraz silniejszych żąda pobudzeń — dowodem Lucullus lub Stanisław August. W miarę zaś rozwoju estetycznego zwykłe przyjemnostki schodzą do zera, te zaś, w których smakowałby duch wyrobiony są dlań niedościgłe; zagadka wiedzy męczy, ale nie zaspakaja; mnoży ona wątpliwości, unaocznia coraz jaśniej nicość myśli ludzkiej i zanurza żądnych światła w odmęcie sceptycyzmu.

O przyjemnościach moralnych nie warto nawet wspominać; bohaterstwo, zaparcie się siebie, poświęcenie to — „facecye,“ z których grubo śmieje się każdy, kto zna ludzką naturę.

Jak się z tej Gehenny wydobyć? Nie ma sposobu. Probują dzieje, probują wielcy ludzie, marzący o przekształceniu świata, ale na rdzenne złe nie ma lekarstwa. Junak tylko wierzy, że przewrotem społecznym zburzy nadgniłą budowę i wzniesie nową, lepszą; ale grubo łudzi się — reformy mają jedynie spotęgować na razie sumę cierpienia, ale pociechy nie dadzą. Autor mniema, że rozpaczliwe wysiłki społecznych proroków nie przysporzyłyby szczęścia ani na włos. Rewolucya francuska (jest to koń do wynajęcia, na którym każdy nieprzyjaciel wstrząśnień lubi harcować) więcej kosztowała ofiar, niż uwolniła jednostek z pod jarzma średniowiecznych tortur, a wobec większego hartu dawnych kacerzy, dzisiejsze gilotyny są bezwątpienia okropniejsze od inkwizytorskich doświadczeń. Nowoczesna etyka zżymie się na myśl o niewolnictwie u rzymian i greków, ale ze spokojem, więcej niż greckim, spogląda na miliony ludzi wolnych wprawdzie, ale mrących głód, jakiego pachołkowie magnatów łacińskich nie znali.

Słowem, przewroty — to jałowe zapędy gorącej krwi. A jednakże, gdyby nie one, byłoby na świecie gorzej jeszcze, na to maleńkie ustępstwo, które warto zapamiętać, autor zgadza się.

Jak z bytu państwa wnioskować można o rządach jego królów, tak z tego opłakanego stanu rzeczy na ziemi pada światło na ster świata — światło bardzo ponure,

w którem raczej widać brak wszelkiego steru. Chociaż autor tego nie wypowiada, wszelako taki jest wymiar jego nielitościwej analizy — z niej wypada, że pierwszym i ostatnim wyrazem wszechrzeczy jest bezrząd i chaos; że potęga, jeśli istnieje, to po macoszemu obchodzi się ze swem dziełem, rzuca je na pastwę żywiołów. W tym braku wszelkiej celowości i wszelkiego rozumnego kierownictwa nic nie znaczą najlepsze usiłowania.

Zdawałoby się wobec tego obrazu rozpaczy, że najlepiej byłoby iść za głosem nihilizmu niemieckiego i roztopić się w Nirwanie.

Zgodny z sobą Schopenhauer i niefortunny jego naśladowca Hartman wyraźnie do niej tęsknią, lub przynajmniej udają, że tęsknią. Wielki Leopardi z upragnieniem wygląda „kochanki śmierci“ i spokojnie obumiera. Ackermanowa pragnie, by wyschło źródło sił natury i byśmy na tej ziemi ostatnimi byli. Takiż sam wniosek nastręczał się i naszemu pesymiście, p. Dębickiemu — i w tem smutnem oczekiwaniu zmierzamy do końca jego książki. Rzecz dziwna jednakże, jad, na który tylu głęboko przejętych myślicieli i poetów pierwszej wielkości, nie znalazło odczynnika, autor nasz umie rozpuścić przedziwną sztuką i rozcieńczyć tak, by stał się nieszkodliwym i życia nam nie zatruwał.

Naród i piśmiennictwo polskie są szczęśliwsze od innych... Wielkie wynalazki i wielkie lekarstwa odznaczają się zazwyczaj prostotą; też samą cechę posiada i eliksir spokojnej szczęśliwości, o którym mowa. Nie potrzeba go szukać daleko, otacza on nas ze wszech stron, możemy go czerpać pełnemi garściami, opływa nas tak, że się niekiedy w nim dławimy, był on zawsze niepowołaną dźwignią politycznego bytu, a dziś nastało bogate żniwo jego.

(D. n.).

Cezary Jellenta.

CUDZOZIEMCY.

W czasach, gdy oświata stała jeszcze na bardzo niskim stopniu, a ludy tylko z trudnością porozumiewać się z sobą mogły, gdyż dzieliły je nieprzebyte przestrzenie, pojęcia religijne i społeczne, tudzież niezrozumiały język, w czasach tych odgradzano się od cudzoziemców chińskim murem. W miarę postępu i oświaty nikły powoli zwyczaje barbarzyńskie a cudzoziemca przyjmowano z otwartemi ramionami, jak upragnionego gościa, który dzieląc się z krajowcem nabytkami sztuki, przemysłu i umiejętności, pomagał do podniesienia bogactwa narodowego pod względem materyalnym i duchowym, stając się poniekąd pośrednikiem w zbliżeniu ku sobie ludzkości. Temu stanowisku zawdzięczały w starożytności potęgę swą Fenicya i Kartagina, a w czasach nowożytnych potężna i urocza córa mórz — Wenecya. Dzisiaj, kiedy para i elektryczność, a nawet samo powietrze, oddane ludzkości na usługi, zniosło wszelkie odległości, łamiąc dawne zapory, kiedy nauka prawa międzynarodowego otrząsa się z wszelkich naleciałości średniowiecznych, a jeden z najmłodszych kodeksów (włoski) zniósł pod względem prawnym wszelkie różnice między krajowcem a cudzoziemcem, dzisiaj, w krainie, roszczącej sobie prawo do wysokiego stanowiska w świecie umysłowym, szarpnął się rząd pruski na wiekowe nabytki cywilizacyjne prawa narodów, tej własności świata całego i ruguje tysiące rodzin polskich, bez zarumienienia przyznając się do gwałtu. Wobec tych smutnych okoliczności, podjął p. L., notaryusz z Nowego Sącza, bardzo odpowiednią pracę *) zapoznania szerszego koła czytelników ze stanowiskiem, jakie zajmował cudzoziemiec w dawnych ziemiach Polski i jakie tam dzisiaj zajmuje. Pomijamy pobieżny pogląd autora na stosunki polityczne w Rzeczypospolitej i na prawo międzynarodowe prywatne, aż do jej podziału, a przypatrzmy się obecnemu stanowisku cudzoziemców albo raczej polaków z Królestwa i z Galicyi wobec prawa niemieckiego w Prusiech. Według konstytucyi państwa niemieckiego z 1871 r. wolno każdemu cudzoziemcowi przebywać i osiadać w ziemiach pruskich, względem polaków, pochodzących z ziem do Rosyi i Austryi przyłączonych, przyjęły Prusy osobne zobowiązania w aktach porozbiorowych i w akcie kongresu wiedeńskiego, poręczając „wolność pobytu i osiedlania z uszanowaniem ich religii i narodowości.“ Nadto zawarły traktat w 1881 roku, mocą którego poddani austryaccy, jak niemieccy, „uważani są zupełnie na równi z krajowcami.“ Zresztą w sprawie osiedleń, i w sprawach policyi cudzoziemców tylko państwo niemieckie rozstrzyga, żadnemu państwu jednak nie służy prawo bezwzględnego wydalania cudzoziemców, jeżeli nie dali do tego powodu swojem postępowaniem. Za złamanie zobowiązań i za zdeptanie traktatów międzynarodowych mają prawo państwa ościenne (Rosya i Austrya) domagać się nietylko wynagrodzenia szkód, ale nadto pociągnąć Prusy do odpowiedzialności, a, wobec panującego dotąd w tych państwach odwetu, prawo wydalenia zastosować do poddanych pruskich. Długich wieków i krwawych walk było potrzeba do wyjednania dla cudzoziemców swobody i narodowego rozwoju, wreszcie zasady te prawie wszędzie weszły do obowiązujących ustaw. Przynajmniej ustawy, dotyczące cudzoziemców w trzech zjednoczonych państwach (w Rosyi, Niemczech i w Austryi) są, jak wykazuje p. Lipiński, sprawiedliwe, a nawet pod niejednym względem postępowe, lecz braknie, niestety, stróża, coby czuwał nad ich wykonaniem, brak sądu międzynarodowego, któremuby rządy podlegały i któryby miał władzę wykonania swoich wyroków. Ludzkość, drzemiąca dziś jeszcze bezsilnie i w niemocy, ocknie się w niedalekiej przyszłości z przygniatającego ją letargu, lecz jeszcze dużo westchnień uleci, dużo jęków utonie, aż łuna pożogi i zniszczenia zaświeci nad Europą — i stanie się zadość prawdzie i słuszności w dziedzinie prawa międzynarodowego.

B.

*) L. Lipiński. *Stanowisko cudzoziemców w Polsce.* Studyum z prawa międzynarodowego. Lwów, 1886.

LITERATURA I SZTUKA.

Plon konkursowy.

III.

E. Lubowskiego *Osaczony.*

Teatr nowożytny wytworzył sobie i szybko rozwija literaturę własną, która stanowi osobny rodzaj po za poezyą dramatyczną. Nie chodzi tu wcale o *poezyę*, o głębokie myśli i uczucia artystycznie wyrażone, o wzniosłe lub demoniczne postacie, ale o zajmujące, zręcznie rozsnute i wiernie z życia wyprute wątki. Najważniejszą rzeczą w tej literaturze jest oryginalny *pomysł*, najważniejszym środkiem — zręcznie zaplątana intryga. Dzienniki opowiadały, że Sardou zwykle miewa nagłe błyski, dające mu osnowę do komedyi i że wtedy — jeśli się znajduje po za domem — łapie fiakr, jedzie do swej pracowni i natychmiast szkicuje ową kurę, która ma obiedz świat i na różnych scenach znieść mu złote jajka. Z pozoru wyglądu to na poetyckie natchnienie — w rzeczywistości jest to znalezienie zyskownego konceptu. W głowie tego rodzaju autora odbywają się takie procesy, jak w głowie przemysłowca, poszukującego dla swych wyrobów formy, zapewniającej im szybki pokup. Przemysłowiec uwzględnia potrzeby i gusty tej warstwy, która jego towary nabywa; pisarz sceniczny liczy się z wymaganiami i upodobaniami tych sfer, które składają przeważnie publiczność teatralną: arystokracyi i mieszczaństwa. Obie te klasy nie lubią głębin filozoficznych, charakterów zbyt wysoko podniesionych nad poziom życia, idej rozsadzających budowę społeczną, natomiast chętnie przypatrują się świeżym kombinacyom stosunków w zakresie prawidłowości istniejącej, wcieleniom zasad etyki powszechnej, drobnym poprawkom błędów stanu obecnego — wszystkiemu, co daje się łatwo pojąć i przyjemnie słuchać. Gdyby dzisiejszy komedyopisarz obrobił temat *Kupca weneckiego*, naładowałby swój utwór złorzeczeniami przeciwko lichwie, ukazał jej ofiary i spustoszenia, wycisnąłby wiele łez i wywołał wiele uśmiechów, ale nawet nie usiłowałby zgromadzić tylu barw i środków poetyckich, tylu uczuć i myśli, ile ich znajdujemy u Shakespeare'a. Dzięki tej skali literaturę sceniczną można tylko słuchać w grze aktorskiej, ale nie czytać — a przynajmniej pomiędzy słuchaniem jej w teatrze, a czytaniem w książce zachodzi olbrzymia różnica wrażeń.

P. Lubowski jest pisarzem scenicznym. Literacka strona jego utworów zdradza pióro, które i po za teatrem pracuje zdolnie, ale nie stanowi ona jego siły głównej. Ponieważ autor pragnie być realnym, nie wyposaża więc swych bohaterów szczodrzej, niż życie: w głowy, w serca, w usta wkłada im to tylko, co oni posiadają jako ludzie rzeczywiści. Obserwator bystry, wprawny i niezmordowany, podpatruje on znamienne właściwości różnych gatunków człowieka, ciekawe stosunki i powikłania, a znalazłszy świeży pomysł, temat, zużytkowywa ten materyał i kreśli z niego grupę postaci w rozwoju zdarzeń, odbijających życie współczesne. Nie przeciągnie on struny uczuciowej o najdrobniejszą miarę, nie rzuci myśli zagłębokiej o najmniejszy stopień, jeżeli to naruszałoby wierność charakterystyki i wyprowadzało bohatera za granice powszednie. Jego ludzie tak myślą, czują i mówią, jak ich pierwowzory, a ponieważ te pierwzory są istotami średniego kroju, więc i w jego komedyach panuje nastrój średniości. „Bliżej mi dziś grobu — powiada np. jedna z jego staruszek — *aniżeli słońca.*“ Wyrażenie to, pozornie wytworne, jest logicznie kulawem, bo odległością olbrzymią określa odległość małą. Ale jest to wyrażenie, które bardzo łatwo spaść mogło z ust kobiety zwykłej — i Lubowski nie waha się go użyć.

Władysław Wrzecki, człowiek twardego charakteru i rzetelnej uczciwości, przez przyjaciół swoich postawiony jest jako kandydat do Rady państwa w Wiedniu. Książe August jednak, chociaż go ceni, postanawia zdobyć mandat dla przedstawiciela swojej sfery i wysuwa hr. Stefana, ograniczonego i słabego niedołęgę, który rolą poselską dogodzi innemu jego życzeniu — odsunie się od żony, hrabiny Izy. Przy pomocy dziennikarskiego najmity, redaktora Koszyrskiego, którego przez zemstę za niewzajemną miłość podszczuwa na Wrzeckiego hrabina, oraz przy pomocy drugiego redaktora Bickiego, ślepo rzucającego garście błota, zohydza on współzawodnika w opinii zarzutem nieprawego posiadania majątku i nadużycia

zaufania w obowiązkach plenipotenta. Przypadkowo odkryty dowód oczyszcza honor spotwarzonego i oświetla moralną wartość jego intrygantów. Taką treść zawiera ostatnia komedya p. Lubowskiego p. t. *Osaczony*, której na konkursie przyznano nagrodę trzecią. Piętnuje ona publiczne oszczerstwo z tą uwagą społeczną, że „drobne cierpienia, wypływające z drobnych ambicyj — oto co nam mózg wypala, co wysusza serca.“ Gdybyśmy utwór ten czytali bez pamięci na jego przeznaczenie sceniczne, znaleźlibyśmy wiele powszedniości i wiele niedostatków. Przedewszystkiem w takiej walce, jak wyborcza, przeciwieństwa zasad i dążeń rysują się najostrzej. W *Osaczonym* tego nie widać. Tam ludzie tylko udają nienawiść dla zbałamucenia tłumu i nawet zacięty bój nie przeszkadza im dobrze sobie życzyć, a nawet stosunkować się przyjaźnie. W salonie hrabiowskim ukazuje się podczas zapasów nietylko sztab jednej, ale i drugiej strony, a nawet sam unurzany przez arystokratów i ich najmitów Wrzecki. Hrabina Izabrała czynny udział w spotwarzeniu go; czemże on jej za to płaci? „Ludzie — powiada — mogą mi odebrać tylko szczęście, nie odbiorą mi spokoju sumienia i przeświadczenia, żem czegoś wart (Podając jej rękę). Raz jeszcze podaję pani rękę na znak, że jeżeli sama zdołasz się pani uspokoić, ja nigdy złorzeczyć ci nie będę. O, wierz mi pani i otrzyj łzy, których nie pragnąłem nigdy widzieć z mojej przyczyny.“ Tak mówi człowiek do kobiety, która go z ukrycia postawiła pod pręgierzem hańby? Możnaby mniemać, że ją łagodzi dla bezpieczeństwa w pozyskaniu ręki siostry jej męża — nie. Jest szczerym. „Unicestwiła mnie — rzecze po odejściu jej — powaliła na ziemię i zbrukała, a nie czuję dla niej żadnej nienawiści. Jestem-że tak zimny, czy przytępiony?“ Na pytanie to nie umie sobie odpowiedzieć, bo ono stawia mu zagadkę psychologiczną do rozwiązania niemożliwą.

Dotychczas komedya bez książąt, hrabiów i wielkich panów obywa się z trudnością. Niemielibyśmy nic przeciwko wystawie tego scenicznego inwentarza, gdyby go zawsze wyprowadzały ręce śmiałe i wody z ogniem niemieszające, gdyby to były ręce arystokratów lub demokratów. Na nieszczęście teatralni pisarze nasi unikają społecznych stanowisk ściśle oznaczonych, skrajnych; dobrze życzą dołowi i przesyłają ukłony ku górze, nastrzykują jednakowemi uczuciami żyły jednych i drugich. Stąd w ich utworach panuje zamęt pojęć, niejasność stosunków, sprzeczności nadmiernie złagodzone, różnice zatarte. Białość usmolona, a czarność pobielona nadaje obrazom tym koloryt szary, nieokreślony.

Zarzut ten zrobić można i *Osaczonemu*. Osnową swej komedyi autor przechylił się bardziej na stronę demokratyzmu, ale tu i owdzie, jak gdyby unikając mocnych kontrastów i nie chcąc za daleko odejść od przeciwległego krańca, odbywa ruchy wahadłowe. Mówiąc bez ogródek, hrabia jest kpem, książe niecnym intrygantem, hrabina samolubną ladacznicą — tymczasem Lubowski maluje ich charaktery, ażeby nie ukazywały swej szpetności. Jest to już tylko ustępstwo, w którem autor nie idzie za swą obserwacyą, ale za zwyczajem. Nie chce, ażeby zawołano: czerwony! — tak jak nie chciałby, żeby krzyknięto: biały! Wolał być — różowym, mieć barwę demokratyczną, ale łagodną. Ostatecznie wszakże jest to barwa dla nas sympatyczna.

Wiadomo, że teatr ma swoją własną perspektywę artystyczną, w której rysunki delikatne, cyzelowania i szlifowania misterne przepadają zupełnie, natomiast prace kreślone grubo wychodzą pięknie. W tej perspektywie rownież toną sprzeczności widoczne przy czytaniu, zwłaszcza gdy je zakryje dobra gra aktorów. Słowo pisane lub drukowane nie ukryje przed nami swych ułomności — oceniamy je takim lub innym sprawdzianem chłodno, spokojnie. Natomiast słowo żywe, umiejętnie ze sceny wypowiedziane, nie pozwala nam badać go szczegółowo i ukrywa niedostatki. Płynie ono potokiem bystrym, gorącym, obrzuconym światłami deklamacyi — więc olśniewa, przekonywa lub bawi. Tekst ostatnich komedyj p. Lubowskiego w połączeniu z grą aktorów tworzy prawie zawsze obrazy wzorzyste, barwne i żywe. *Osaczony* zaś niewątpliwie należy do płodów jego najlepszych. Ma on budowę nieco sztuczną, podpartą nieraz naciąganiem i zakończoną środkiem dorobionym, ale postacie ucharakteryzowane cechami znamiennemi wybornie. Na scenie też odnosi dotąd tryumfy, na które w zupełności zasłużył. Jest to bowiem cenny nabytek dla repertuaru bieżącego.

P. Kozłowski chciał utrafić dramat historyczny i całkiem chybił, p. Mańkowski chciał napisać komedyę i narysował karykaturę, p. Lubowski chciał przedstawić sztukę sceniczną i zadanie swoje spełnił szczęśliwie. Czy złożone sądowi konkursowemu prace winny być nagrodzone i w takiej kolei — jest to pytanie, którego ze względu na prywatny charakter tego turnieju rozstrzygać nie będziemy. Grono ludzi zebrało między sobą pewną sumę i rozdzieliło ją między kilku autorów, według swego uznania. Co nam, co komukolwiek do tego? Nas tylko obchodzi plon konkursowy, o ile on wprowadzony został do literatury. Otóż w tym plonie *Albert* ma wartość dobrego młodzieńczego wypracowania, *Minowski* — wartość pomysłowej karykatury, *Osaczony* zaś wartość wybornej sztuki teatralnej.

H.

CHWAST JĘZYKA.

Walicki A. **Błędy nasze w mowie i w piśmie**, oraz prowincyonalizmy. Wydanie trzecie, powiększone. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1886, str. XXVI i 453.

Chwalebny cel podźwignięcia mowy ojczystej, zagrożonej skażeniem przez niedbałość i nieuctwo, osiągnął autor w zupełności. Książka jego wywiera i wywierać będzie wpływ korzystny nietylko na szerszą publiczność, ale także na piszących, od uczonego zacząwszy, a skończywszy na reporterze. Wszystkim ją też serdecznie polecamy. Odłożywszy na bok togę uczonego gramatykarza, staje autor na gruncie praktycznym i bez względu na powagi i osoby, stawia pod pręgierz nadużycia grzechy językowe, podając zarazem środki zaradcze w celu ich poprawy. Filolog znajdzie tu bogaty materyał do poznania gwary litewskiej, którą p. Walicki zna dokładnie, jako litwin. Dla dziennikarstwa, utrwalającego błędy potocznej mowy drukiem i podającego co dzień po kropelce tej trucizny, książka ta jest najskuteczniejszem lekarstwem. Jeżeli tu i owdzie nie zgadzam się z autorem w szczegółach, poniżej wytkniętych, to nie myślę bynajmniej odwzajemniać się za osobiste dotknięcie mnie w tej książce, ani uwłaczać żmudnej jego pracy i prawdziwej zasłudze, które szczerze uznaję, lecz idzie mi, jak zawsze, o rzecz samą.

P. W. stojąc na straży czystości języka, sprzeciwia się rozszerzeniu pojęcia niektórych wyrazów, czego wymaga koniecznie postęp czasu. „O ile jest rzeczą zdrożną wprowadzać do języka wyrazy i zwroty sprzeczne z naturą i duchem jego; o ile jest godną potępienia niedbałość i lekkomyślność w sprawie przechowywania cennej spuścizny — o tyle znowu jest rzeczą śmieszną, dziwaczną i szkodliwą uporczywe zasklepianie się w samej tylko przeszłości, zadowalnianie się samem tylko przodków mieniem i odgradzanie się murem chińskim od wszelkiego postępu. Tylko język martwy, skamieniały spoczywa wspaniale w sarkofagu, nie błądząc wprawdzie, ale też i nie postępując. Tętnice języka żyjącego połączone są z otaczającemi go organizmami, więc język taki drga życiem: działa, rusza się, częstokroć wkracza na manowce, lecz za to też i kształci się. Zbrodnią więc byłoby zakuć go w ciasną sznurówkę.“ W taką moralną sznurówkę chciałby zakuć nasz język p. W., gdy występuje przeciw używaniu takich zwrotów, jak: „mieć miejsce,“ „na czasie,“ „z rzędu“ itp. w znaczeniu *przenośnem*, np.: „zastosowanie tej zasady miejsca mieć nie może u nas,“ albo: „czynność ta nie jest na czasie,“ „druga z rzędu powieść.“ Wyrażenia te potępia p. W. niewinnie, ścieśniając niesłusznie zakres ich używania.

Uderzając słusznie na tych, którzy niepotrzebnie posługują się obcymi wyrazami, mając własne, posuwa autor swoją surowość zbyt daleko. „Nowość wprowadzona do języka — przypominamy znowu dobrze mu znane słowa — jest jak oścień wbity w ciało ludzkie. Będzie on drażnił i cały organizm o chorobę przyprawi, lecz nigdy się z ciałem nie złączy i prędzej czy później organizm zdoła go się pozbyć.“ Takim ościeniem jest wyraz, ukuty przez purytanów: *wykończalnia*, zamiast utartego: *apretura*, albo pisownia *Ewgeni* zamiast *Eugeni* itp. Mówiąc np.: odegrano z wielką *precyzyą* kompozycyę Mozarta, chcę wyrazić nietylko ścisłość i dokładność, ale także wykwintność i wytworność gry, a że na te dwa pojęcia nie ma wyrażenia polskiego *), posługujemy się z konieczności obcemi. Podobnie nie da się dokładnie na język polski przetłomaczyć, ani wyrazić słowo *pendant* **). Jeżeli tutaj zachodzi konieczność zapożyczania z obcej skarbnicy, to w innych wypadkach nie razi używanie obcych wyrazów dlatego, ponieważ zupełnie się utarły np. *rezerwa*, *aspiracya* ***), na co się gniewa autor. Wogóle trzeba się zgodzić na pewne zboczenia językowe, spowodowane duchem czasu, silniejszym od jednostek, choćby nawet słuszność była po ich stronie — głową muru nie przebijesz. Niektóre błędnie utworzone wyrazy weszły już w krew i kości organizmu językowego, występowanie więc przeciwko nim uważam za stratę sił, czasu i papieru. Jeżeli — jak to sam autor przyznaje — „ani jedno pismo warszawskie, ani jedna książka w Warszawie drukowana, inaczej nie używają jak „odpowiedni,“ to nawoływania, aby pisać tylko „odpowiedny,“ będą głosem wołającego na puszczy. Będziemy zawsze mówili i pisali „przedsiębiorstwo,“ a nie „przedsiębierstwo,“ jak chce autor, choć argumenty jego są słuszne. „Młodym człowiekiem“ będziemy zawsze nazywali młodego mężczyznę (niekoniecznie młodzieńca) choć to nie zgadza się z duchem języka, na szczęście, zmiennym, jak wszystko na świecie. Córka ks. Sapiehy albo nawet i p. Wagi nie napisze nigdy na swych biletach Sapieżanka albo Ważanka — pomyślimy, że to półwieczna matrona! — a żona Bełży nie przezwie się nigdy Bełziną, bo to obraża tę odrobinę samoistności kobiet, żądających przynajmniej nazwiska z końcówką nie tak niewolniczą, czy lekceważącą, jak ją doradzają purytanie.

P. W. przypisuje wszystkie błędy językowe różnego rodzaju pismakom i gryzipiórkom; oni to, zdaniem jego, „przewodniczą“ w używaniu najpotworniejszych

*) A dlaczegóżby nie można powiedzieć: „z wielką dokładnością utwór Mozarta?..“ *Red.*

**) A dopełnienie?.. *Red.*

***) A pragnienie?.. *Red.*

dziwolągów, oni są „źródłem skażenia języka polskiego.“ Nie przeczymy, że wielka wina i odpowiedzialność ciąży na publicystach, gdyż rozkrzewiają oni błędy te systematycznie i w tysiącach egzemplarzy, nie zapominajmy jednak, że oni po większej części wyrażają to tylko, co jest w obiegu i co się już przyjęło w całej publiczności. Niektóre wyrażenia, uważane przez p. W. za grzechy, są własnością całej prowincyi, rzucanie się zatem na literatów, piszących: „idzie naprzeciw gościa,“ zamiast: „naprzeciw gościowi,“ albo nawet na „bzdurstwa kumoszek krakowskich“ (dla swoich litwinów jest autor o wiele pobłażliwszym) dlatego, że mówią zamiast „pociągnęła“ — „pociągła,“ wydaje mi się niewłaściwem. P. W. chce zatrzeć barwy stylu i zapoznaje zamiary pisarza, jeżeli oburza się za powiedzenie „odwieczna *Roma*,“ „*sławetny* budowniczy“ (ironicznie); poprawia na gorsze wyrażenie: „chłopaki rozkoszowały się“ na — „rozkoszowali się,“ i nie rozumie znaczenia analogii w rozwoju języka, jeżeli godzi na słowo „ptastwo“ (ptach, ptaszę), albo jeżeli każe pisać „szczególnie“ zamiast częściej i niewłaściwie używanego „szczególniej“ (w pierwszym stopniu); podobnie używają litwini i podolacy w stopniu pierwszym słów „dawniejszy,“ „ranniejszy“ itp. Wrzekomo fałszywe wyrażenie „Biblioteka Warszawska *za* maj“ może być w danym wypadku bardzo odpowiedniem. Wiadomo, że pismo to trochę się spóźnia, otóż przypuśćmy, że zeszyt, mający wyjść w maju, dano abonentom dopiero na początku czerwca, wówczas powiemy najwłaściwiej „zeszyt Biblioteki Warsz. za maj,“ inaczej nawet nie można się wyrazić, gdyż „zeszyt majowy“ nasuwa mimowoli inne wyobrażenia, dla dokładności więc mówimy zeszyt z czerwca za maj. Nie wiem właściwie dlaczego p. W. tak się oburza na wspomnienie „terenu;“ przecież wyraz ten jest niemniej cudzoziemskim, jak „grunt,“ którego jedynie używać każe. Ta „błoń“ nie jest błędem, ale prowincyonalizmem, szeroko rozpowszechnionym (w Krakowskiem, na Podolu) i używanym przez wzorowych pisarzów. Wyrażenie „pięć procent“ (p. W. każe mówić i pisać „pięć procentów“) jest skróceniem, użytem przysłówkowo, należy się domyślać „pięć *pro cento*.“ Często używany zwrot „puścić w trąbę,“ którego autor jest nieprzejednanym wrogiem, tłomaczę sobie po prostu — bez „dymu.“ Podobnie, jak przedmiot, puszczony przez trąbę, z niej wypada, tak porzucamy człowieka, „puszczając go w trąbę.“ Wyrazu „poryw“ nie wykluczałbym z używania, przynajmniej w złem tego słowa znaczeniu; mówi się zwłaszcza w liczbie mnogiej o porywach niedojrzałych młokosów, czego nie oddaje słowo „natchnienie,“ albo „zapał,“ a innem zastąpić trudno.

Dlaczego użycie w dalszym ciągu myśli „mam już dosyć kłopotów“ jest poprawne, „kiedy mam już dość tej zabawy,“ bez dalszego ciągu jest błędnem, tego nie rozumiem. „Rozebrać do rosołu“ znaczy „do koszuli rozebrać“ prawdopodobnie dlatego, że szlachta nasza, zasiadając do rosołu, zdejmowała żupany, co można jeszcze i nas na wsi widzieć. W końcu wymieniam odmienne znaczenia w gwarze galicyjskiej słów: „buszować,“ to samo, co „przerzucać“ lub „robić nieporządek,“ oraz „dziaukać“ tyle co szczekać.

Henryk Biegeleisen.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Mamy kwestyę. — Golarki. — Akt oskarżenia i przestrogi. — Wypieranie mężczyzn przez kobiety. — Co zrobią zwyciężeni? — Obawy moralne. — Pogląd barbarzyński. — Kobieta-człowiek. — Ciekawa statystyka. — Izba handlowa królewiecka w żałobie. — Nowy obywatel polski. — Książka p. Walickiego. — Przesada wymagań. — Dwie sterty plew. — Grzechy *Kraju*.

Mamy „kwestyę,“ a sądząc z wrzawy — jedną z najważniejszych. Nie pamiętam, ażeby kiedykolwiek kobieta tak przeraziła mężczyznę, jak golarka. Widziałem szturmy niewieście do literatury, praktyki lekarskiej, gospodarstwa rolnego, katedr uniwersyteckich, wioślarstwa itp, — nigdy nie wywołały one równego oporu i popłochu. Skąd przybywa najazd na prawa męskie — nie wiem, gdyż te same pisma wskazują Paryż, ulicę Gęsią, Sztokholm i dzielnicę nalewkowską. Ostatecznie faktem jest, że w Warszawie mają rozpocząć, czy już rozpoczęły swą działalność golarki, sprowadzone z Francyi, ze Szwecyi, czy też z Nalewek. Ponieważ dotąd nie rozejrzałem się należycie w niebezpieczeństwie, więc powtórzę tylko cudze wołania.

Kuryer warsz. widzi w tym wypadku „polowanie na namiętności.“ „Piękniejsza połowa rodzaju ludzkiego — powiada on — coraz bardziej wypiera płeć brzydszą, coraz więcej zatrudnień staje się *przywilejem* kobiet, tak, że gdzie dawniej pracowali mężczyzni, dziś pracują kobiety. I przedsiębiorcy wolą pracę kobiet, dlatego, że jest zwykle tańsza, w niektórych zaś razach, jak w tym naprzykład wypadku, kobieta staje się ponętą, ściągającą gości do zakładu.“ Z każdego wyrazu tryska promień prawdy nieznanej. Bo kto przypuszczał, że „coraz więcej zatrudnień staje się *przywilejem* kobiet,“ kiedy dotąd mniemaliśmy, że jedynym ich „przywilejem“ jest możność rodzenia i karmienia? Kto przypuszczał, że „gdzie dawniej pracowali mężczyzni, dziś pracują kobiety“ — kiedy zdawało nam się, że do wielu zawodów (adwokatury, służby urzędniczej, aptekarstwa itd.) są wcale niedopuszczane, a w innych (praktyka lekarska) stanowią zaledwie drobniutki procent? Kto wreszcie przypuszczał, że należy wzbronić kobietom pewnej pracy dla usunięcia złych „ponęt,“ kiedy nikt nie przeszkadza mężczyznom sprzedawać perkalików i koronek, opukiwać i osłuchiwać młodych żon starych mężów, posługiwać się nagiemi modelkami, brać miary na damskie trzewiczki? Moralność nasza zadrżała na myśl, że golarka dotknie nosa męskiego, nie czuła zaś ona dreszczów, gdy szewc dotykał nogi kobiecej — widocznie górny biegun ciała ludzkiego jest bardziej naładowany elektrycznością, niż dolny.

„Cóż jednak — pyta dalej *Kuryer* — mają czynić mężczyzni, przez kobiety chleba pozbawieni?.. Cóż im pozostanie, jeżeli nie pomnożenie proletaryatu, jeżeli nie *puszczenie się na manowce?..*“ Ponieważ skutkiem tego przewrotu mężczyzna musi zająć miejsce kobiety, więc łatwo ogadnąć, na jakie on wejdzie „manowce.“ Wieczorem będzie wychodził z magazynu i na ulicy spotka czatującą, młodą lub starą kobietę, która go zaczepi:

— Wolno pana odprowadzić?

On milczy zarumieniony.

— Jeszcze pan w moje oczy nie spojrzał, a już swoje odwraca.

On przyspiesza kroku.

— Śliczny panie, nie uciekaj, bo ludzie pomyślą, żeś mi co złego zrobił. Taka ładna buzia nie powinna się chmurzyć. Oh, czy to nie uśmiech z ust sfrunął i pod wąsami się ukrył?

— Wstydź się pani — rzecze on wreszcie — porządnych mężczyzn na ulicy zaczepiać.

— Mam zaczepiać nieporządnych?.. Fe!.. Podaj mi pan rączkę, a ja coś słodkiego w uszko wrzucę.

Trwają jeszcze dąsy, ale wreszcie biedny pająk wpada w sidła muchy. Nie potrzebuję dodawać, że zwykle ofiarą będzie fryzyer.

I kobietom ta przemiana wyjdzie na złe. „Gdy się zestarzeją i staną się niezdolne do pracy, jaką zajmowały się przez długie lata, przyzwyczajone do roboty lekkiej, z pewnością nie wrócą do zatrudnień nakazanych im przez naturę, ale zejdą na złą drogę.“ Mój Jezu, nikt nie troszczy się o robotnicę fabryczną, co ona pocznie na starość, a golarka budzi takie obawy! Musi ona koniecznie być panną, wdową lub separatką, bo inaczej *Kuryer* nie przepowiadałby jej, że „z pewnością nie wróci do zatrudnień wskazanych przez naturę.“ Jak wspomniałem, znam tylko dwa zatrudnienia niewątpliwie wskazane kobiecie przez naturę, do obu jednak niewiasty w późniejszym wieku tracą „przywilej,“ chociażby nawet włosów nie strzygły i bród nie goliły. „Moralność kobiet — dowodzi szan. stróż tradycyi — oddających się takim zawodom, w których zmuszane są do oddawania usług każdemu wchodzącemu do zakładu mężczyźnie, nie jest, jak wiadomo, bardzo wzorową.“ Ponieważ zaś — według *Kuryera* — winni są temu głównie mężczyźni, więc należy na nich oddziaływać? Nie — usunąć z tych zawodów kobiety. Logika niepokalana. Kobieta nie jest człowiekiem, lecz przyjemnością i ponętą człowieka. Nie jego zatem trzeba nakłaniać do umiarkowania, ale ją na klucz zamykać. Wszakże jeśli łakome dziecko przejada się brzoskwiniami, zamykamy brzoskwinie, a gdyby one narażały na niestrawność całą ludzkość, zakazalibyśmy je hodować.

Naturalnie są i znajdą się zawsze zwolennicy drugiego, barbarzyńskiego rozwiązania „kwestyi kobiecej“ (według nich najgłupszej, jaka kiedykolwiek istniała). Rozumują oni tak:

Kobieta jest człowiekiem, a każdy człowiek ma do tego prawo, do czego posiada zdolności; zdolność zaś objawić się może tylko w swobodnym rozwoju sił; dlatego należy kobietom pozostawić wolność pracy, a współzawodnictwo z mężczyznami wykaże dowodnie ich uzdolnienia i usunie je z tych pól, na których się utrzymać nie zdołają. Z poza pięknych frazesów o cnocie niewieściej, o pici nadobnej itd. przeglądają szpetne twarze satyrów z lubieżnemi minami. Niech mężczyzna przestanie być względem kobiety tylko samcem, a ona przestanie być dla niego tylko „ponętą.“ Sprawa golarek sama w sobie jest tak drobną, jak rodzaj bruku na ulicy Smoczej; ale godnym publicznej uwagi jest ten punkt, z którego na nią patrzymy — ta wieża nowożytnego haremu. Pytanie: co zrobią mężczyźni, utraciwszy jakiś zagon pracy, nie zawiera w sobie żadnej zagadki tragicznej, bo ono staje przed każdym człowiekiem, skazanym na współzawodnictwo i walkę o byt. Kobieta zaś, ofiara samowoli i niesprawiedliwości, wyparta nawet z takich pól, któremi zawładnąć powinna, może bardziej, niż ktokolwiek, o to pytanie się nie troszczyć. Mężczyźni sprzedają kretony i tybety, dobierają barwy dla jej ubrania, a ona ma dla nich wyrzec się fryzyerstwa, które dla niej głównie istnieje? Gdy damy mizdrzą się do różnych panów Karolów i Romualdów, ubierających im głowy, gdy prowadzą z nimi tajemne miłostki, to moralność straty nie ponosi, ale gdy kobieta czesze kobietę, a jeszcze broń Boże ogoli mężczyznę — Sodoma! Balwierstwo nie utrzyma się w rękach niewieścich, ale fryzyerstwo jest — jeśli tak rzec wolno — pracą, wskazaną im przez naturę. W poruszonej „kwestyi“ są dwie różne nici: wpływ pierwiastków obcych — tego nie pożądamy, choćby przybywał z Paryża, i rozszerzenie zakresu działalności kobiecej, którego krępować nie należy. Inaczej etyka nasza i ekonomika będą naiwnie powtarzać, jak owo pismo niewieście, przytoczone przez *Tygodnik Ilustrowany*, że „najliczniej pracują białogłowy w zajęciach pedagogicznych niekoniecznie, *w prostytucyi*, słabie zdrowia i t. d.“ — bez za-

dnego wyrzutu sumienia. Zepsucie lęże się nie w pracy, ale w próżniactwie; wszelka więc nowa gałęź tej pracy tylko zmniejszyć może zakres owych zatrudnień „wskazanych przez naturę," a uprawianych obok „nieokreślonych zajęć pedagogicznych."

Jeżeli tedy są wyznawcy takiej przewrotnej teoryi — co z nimi zrobić? Nie zwracać uwagi na te brednie i dalej grzmieć przeciw „golarkom." Potem przyjdą: aptekarki, i t. p. Dla wyświetlenia tych zapasów, przydałoby się nam statystyczne obliczenie: ilu też ludzi u nas w przybliżeniu wytwarza, a ilu tylko spożywa? Może z tego rachunku wypadłoby, że niewielka gromadka produkujących mężczyzn dźwiga na sobie olbrzymią masę dzieci, starców, kalek i kobiet, chwiejąc się ustawicznie pod tym ciężarem. Ta szczególna figura, wymagająca nietylko siły, ale i zręczności akrobatycznej, jest wymownym objawem naszego ustroju ekonomicznego, wyjaśnieniem naszej pomyślności materyjalnej, no, i racyą wyprawy na „golarki."

Izba handlowa królewiecka w sprawozdaniu rocznem zebrała naparstek łez, wylanych przez świat kupiecki z powodu wydaleń pruskich. Płacze ona szczerze, bo rząd pozbawił ją nietylko grona ludzi zdatnych, ale mających w Królestwie Polskiem i Cesarstwie stosunki, pożądane przy zakupach zboża i drzewa. Nadto edykt wystraszył agentów i pośredników, którzy o pewnej porze przybywali na krótki czas i dzielnie służyli ruchowi wywozowemu produktów niemieckich na wschód. Cała ta rzesza znikła, a kupcy zostali narażeni na znaczną stratę. Licho gospodarujesz — mówią oni między wierszami swego sprawozdania do rządu — niech kaczki zdepczą twoją politykę i żądzę prześladowań; sobie dogadzasz, a nas rujnujesz. Rozumie się, wygnanym nie darowano ani słowa litości, tylko opatrzono rany własnego interesu. Niech się krwawi — my nie będziemy obłóczyć serca w jego smutek.

Natomiast obleczemy je w szaty świąteczne, bo od kilku tygodni zyskaliśmy jednego więcej polaka. *Kuryer warsz.* opowiada, że żył sobie w Warszawie pewien synek Germanii, który mimo tutejszego obywatelstwa, pielęgnował niemczyznę w swym kantorze zawzięcie. Pewnego dnia wybrał się do Katowic, skąd go... wypędzono. Oburzony wrócił do Warszawy, zniósł język niemiecki w księgach rachunkowych i korespondencyi, na stole postawił biust Kraszewskiego i został — patryotą polskim. I ja cieszę się mocno z tego nabytku; ale gdyby kiedy nastąpiła wymiana jeńców dwu narodowości, oddałbym go chętnie, bo nie wiem, czy doznawszy kiedyś gościnnego przyjęcia w Katowicach, nie wprowadzi znowu niemczyzny do swego „Geschäftu" i nie usunie Kraszewskiego.

A kiedyż to my, literaci, którzy „obsyłamy wystawy" — „sistujemy roboty" — „podpisujemy stypulacye" — kiedyż my wymieciemy ze swych pism germanizmy? Ustawa już została opracowaną — przez p. Walickiego. Mówi o niej w dzisiejszym numerze kto inny, ja więc tylko dodam kilka uwag uzupełniających. Autor, uznając staranność *Prawdy*, zarzuca jej użycie wyrazu „beznadziejny," mnie zaś — spójnika *a*, zamiast *lecz* po przeczeniu (dzicy to nie baranki *a* smoki). Co do ostatniego, jest to drobiazg, który sami tępimy, a który tak się niedostrzeżony pod pióro nasunie, jak p. Walickiemu wsunęło się na str. 16 „wątpić *w* teoryę Darwina." Ale jeżeli ostatecznie mamy dojść do jakiegoś ładu, musimy jasno określić, co jest właściwie zanieczyszczeniem mowy, a co jej rozwojem. Otóż *beznadziejny* ma równe prawo bytu, jak *bezstronny* lub *bezwładny*. Linde, dawni pisarze i lud — to jeszcze nie całkowity trybunał, rozstrzygający spory tego rodzaju, język zaś nie jest ani tworem ściśle logicznym, ani martwym. Mimo wszystkich tam, postępuje ciągle, a często w kierunku nieobliczonym. „Na czasie" odnoszono dawniej do kobiety brzemiennej, dziś oznaczamy tem wyrażeniem coś będącego „na dobie." Czemu zaś drugie ma być lepsze, niż pierwsze? Bo starsze? Nie probierz!

Po za zbytnią surowością, książka p. Walickiego zawiera tyle napomnień słusznych, że znaleźćby się powinna przedewszystkiem na stole dziennikarzów. Zgarnął on też plew różnych, zgarnął! W jednej wielkiej stercie zsypał kąkolu zachodnie, siane przez prasę warszawską z *Kuryerami* na czele, w drugiej — wschodnie, przez *Kraj* szczodrą ręką rzucane.

Poseł Prawdy.

NA WIDNORĘGU.

Taksa dla księży. — Dobrowolna ofiara. — Jeszcze o przepisach dla górników. — Kary fabryczne. — Krok pojednawczy niemców łódzkich. — Ciekawe fakty. — Latająca cerkiew.

Sprawki pokątnych doradców, znachorów, żydów dostarczają zawsze tematu do żalów nad wyzyskiwaniem ludu. Skargi tego rodzaju znajdujemy nawet w pismach, które, nie mówiąc już o uprawnionym wyzysku ze strony kapitału, otwarcie bronią łupieżczych, zachcianek pewnych warstw społecznych obdarzonych przywilejem przewodnictwa moralnego. Tutaj niewolno nawet mówić o wyzysku, jeżeli zaś fakt nie może uledz zaprzeczeniu lub zbyt wyraźnie bije w oczy, znajduje się zawsze dla niego odpowiednie wyjaśnienie, zmieniające zupełnie jego istotę. Niejednokrotnie prasa postępowa pisała o obdzieraniu ludu przez księży, zaprzeczano nam zawsze, szkalowano nas, łajano, ale nigdy nie zwrócono uwagi na fakt. *Przegląd katolicki* wiadomości takie nazywał nikczemną potwarzą, zdania tego była widocznie i władza duchowna. Ponieważ ani wyzyskiwani chłopi, ani wyzyskujący księża *Prawdy* nie czytają, większość zaś prasy i władze duchowne zaprzeczają wprost istnieniu faktu, przestaliśmy rzucać groch na ścianę. Dlatego to nie zużytkowaliśmy we właściwym czasie listu naszego korespondenta p. K., który nadesłał nam ciekawe szczegóły o ubocznych dochodach duchowieństwa wiejskiego. Tymczasem władza administracyjna zwróciła uwagę na sprawę, która w normalnych warunkach rozstrzygniętą być powinna nie rozporządzeniem urzędowem, lecz własną inicyatywą społeczeństwa i zwierzchności duchownej. „Spostrzeżono — powiada *Warsz. Dziennik* — wśród ludu objawy niezadowolenia i niechęci ku księżom, z powodu pobierania przez nich zbyt wysokiej opłaty za usługi religijne." Przytem zauważono podobno, że księża używają gróźb i straszą chłopów odpowiedzialnością w życiu przyszłem. Na nadużycia te nie było skarg, głównie z tego powodu, iż włościanie nie wiedzą, że istnieją stałe taksy za spełnianie różnych obrządków religijnych. Obecnie z rozporządzenia władzy cenniki te wywieszone będą w kościołach, oraz w urzędach gminnych i miejscach publicznych. Księża, oprócz pensyi rządowej, posiadają znaczne dochody z pogrzebów, ślubów, chrzcin, odprawiania zamówionych nabożeństw itd. Wysokość wynagrodzenia za posługi religijne bywa rozmaita, zależy ona od zręczności proboszcza oraz zamożności parafian, zwykle jednak dochód z tego rodzaju zajęć wynosi, jak oblicza nasz korespondent, parę tysięcy rubli rocznie. „Największą popularnością w sferach duchownych — powiada on — cieszą się księża, umiejący, bez naruszenia powagi kapłańskiej, możliwie wysoko ocenić i sprzedać *pracę* około zbawienia swej owczarni, ludzie zaś z sercem i wyrozumiali na niedolę bliźnich traktowani bywają lekceważąco, obarczani wymówkami za psucie interesu i bałamucenie parafian."

Dla przykładu, korespondent nasz opowiada o pewnym księdzu w radomskiem. Każdy gospodarz za pogrzeb dziecka płacić musi mu od 10 do 20 rs., za pogrzeb dorosłego 30 — 80 rubli. O honoraryum umawia się zwykle „księża pani," która łajo chłopów za skąpstwo i brak życzliwości dla zmarłej osoby. Zdarza się nieraz, że ubodzy rodzice sprzedają resztki mienia, lub zapożyczają się na pochowanie dziecka. Nic dziwnego, że ksiądz, wydając za mąż córkę, dał jej w posagu majątek ziemski, teraz zaś doczekawszy się wnuków, kupił dla nich drugi majątek i pracuje dalej zawzięcie nad powiększeniem fortuny.

Uregulowanie wzajemnych stosunków księży i parafian p. E. K. nazywa sprawą wielce drażliwą, i sądzi, że to odstręczało dotyczas od wystawiania jej na widok publiczny. Powody były inne, ci, co mieli odwagę zabrać głos, nie mieli możności oddziaływania na sfery duchowne, które nietylko z własnej woli żadnej poprawy podjąć nie chciały, ale nawet nie przyznawały się do winy i trwając w tym uporze, doczekały się wreszcie postanowienia władzy rządowej, wywołanego koniecznością, które może choć w części położy kres zbyt już jawnym nadużyciom. Jeżeli posługi religijne w kościele katolickim stały się wyłącznie przedmiotem kupna-sprzedaży, słusznem jest, że przedsiębiorstwo to poddanem zostało odpowiedniej kontroli. Lekarz, adwokat, rejent, chociaż pobierają wynagrodzenie umówione, stosować się jednak muszą w pewnej mierze do przepisów taksy, ksiądz dzisiaj jest takim samym procederzystą, może za jakieś szczególne czynności (np. za wypędzanie dyabła) pobierać opłatę dowolną, ale za prawem przepisane obowiązki nie powinien wymagać więcej, niż mu się podług zatwierdzonego cennika należy. P. K. podaje projekt, który ze względu na powagę duchowieństwa, miałby może widoki powodzenia, dla parafian zaś byłby również odpowiednim: ludność każdej parafii płaci rocznie pewną sumę księdzu, ten zaś obowiązany jest wykonywać wszelkie obrządki i usługi religijne bezpłatnie. Jest to najprzywoitsza forma pieniężnego wynagrodzenia „pożytecznej" działalności duchowieństwa, ale wątpię, czy księża zgodzą się na nią, kiedy systemat dobrowolnych umów, nawet przy istnieniu taksy, zapewnia im większe zyski. Bo, zresztą, czyż to taksy obejść nie można?

Wyzysk najlepiej lubi chodzić w parze z ugodą dobrowolną, unika on zawsze zetknięcia z przymusem, który mógłby go narazić na starcia z kodeksem karnym lub z opinią publiczną. Ta ostatnia jednak zaczyna już rozumieć, że dobrowolna zgoda bywa nieraz gorszą od przymusu, kiedy ten bowiem jest zuchwałym łotrem, jawnie napastującym ofiarę, tamta jest wytrawną oszustką, przywdziewającą dobroduszną maskę. Urzędnicy drogi żelaznej dąbrowskiej skarżą się w listach, przysłanych do redakcyi, na taki właśnie wyzysk, przybrany w formy dobrowolnej zgody. Niedawno otworzono tę kolej, i oprócz skarg pasażerów niczego o niej dobrego nie słychać, pomiędzy dygnitarzami jej znaleziono jednak osobistość, którą postanowiono bądź co bądź uczcić. W tym celu dwaj zawiadowcy stacyi, zależni w części od kontrolera ruchu, umyślili ofiarować mu zegarek i w tym celu wezwali wszystkich kolegów do składek. Nawet biedacy, pobierający po 30—40 rs. miesięcznie, zmuszeni zostali zapłacić po kilka rubli, jeżeli zaś kto miał zatarg z panem kontrolerem, płacił w trójnasób. Rozumie się, składka była dobrowolna, nikt jednak nie uchylił się od niej, uczynili to ci, którzy skarżą

się teraz. Nie mamy powodu sądzić, że obdarowany wie dokładnie, w jaki sposób zbierano składkę, powinien wprawdzie domyśleć się tego, ale domyślność nie jest przymiotem, wymaganym koniecznie, nawet od ludzi, zajmujących wyższe stanowiska. Dziś jednak, kiedy sprawa stała się jawną, spodziewać się można, że jako człowiek uczciwy i honorowy, nie przyjmie podarku, na kupno którego wyłudzono lub wydarto biedakom ostatni grosz, że nawet nie poprzestanie na tem i da odpowiednią nauczkę swym nieproszonym wielbicielom.

Tydzień piotrkowski poświęca znowu obszerny artykuł rozbiorowi „przepisów o porządku robót gwarectwa G. Kramsta," wykazując, że ogłaszanie takich ustaw, wyraźnie zakazanem jest artykułem 289 kod. kar. o czem nie wiedziała zapewne władza miejscowa, która na druk ich pozwoliła. Pojedyncze przepisy, wszystkie prawie bez wyjątku, stoją w sprzeczności bądź to z kodeksem cywilnym, bądź z rozporządzeniami administracyjnemi. I ten akt samowoli nosi, naturalnie, znamiona umowy dobrowolnej. Tak! wspomniano tam nawet o prawie robotnika, o *jednem* tylko, ale za to doniosłem wielce. Robotnikowi wolno zerwać umowę: 1) „jeżeli stanie się niezdolnym do dalszej pracy, 2) jeżeli właściciel lub urzędnik zakładu dopuści się względem niego czynnej obelgi, 3) jeżeli należna mu płaca zostanie zatrzymaną." To znaczy, że jeżeli ulegnie kalectwu, jeżeli p. Wiester zbije go i nie zapłaci mu należnych pieniędzy, robotnik może się oddalić z kopalni. Gdyby bowiem zwrócił się do sądu ze skargą o zaspokojenie swych pretensyj, pomysłowy zarząd odpowie, że wszelkie reklamacye przedawniają się w ciągu 5 lub 7 dni, na zasadzie § 11 i 13. Nie raz nawet p. Wiester nie będzie potrzebował bronić się przedawnieniem, ma on bowiem dla siebie § 29, który głosi, że „w razie gdyby roboty w kopalni z powodu jakiegoś nieprzewidzianego wypadku przerwane zostały w całości lub częściowo, robotnicy nie mają prawa żądać wynagrodzenia za stracone roboty, *mogą jednak wtedy wymagać, aby ich bezwłocznie uwolniono z kopalni.*" Jeżeli więc robotnik pracuje w ciągu dni kilkunastu i potem pracę jego zalewa woda, jeżeli w kopalni wszczął się pożar, górnik nie ma prawa żądać wynagrodzenia za dokonaną pracę, ale *może wymagać*, żeby go wydalono. Dalej już bezczelny wyzysk i poniewieranie prawa iść chyba nie mogą.

Nietylko jednak p. Wiester, ale i większość fabrykantów łódzkich w stosunku do robotników rządzi się równie oryginalnemi prawami, tak przynajmniej utrzymuje *Tydzień*, dodając, że nakładanie kar nie ma żadnej miary, do czego przyczynia się ta okoliczność, że pp. dyrektorowie i administratorowie przedsiębiorstw pobierają od ściągniętych grzywien pewien oznaczony i dość znaczny procent. Za najmniejszą winę grozi wydalenie z fabryki lub kara pieniężna, rozumie się, że robotnik wybiera tę ostatnią, a p. dyrektor nie ma nic przeciw takiej zamianie. Nawet nie przychodzący w święto do fabryki lub spóźniający się robotnik wybierać musi między wydaleniem lub karą pieniężną. O nadużyciach tych nie wie zapewne *Dziennik łódzki*, lub może kronikarz jego nie chce drażnić ludzi „osiadłych już dawniej między nami i postępujących po obywatelsku." Teraz zresztą nie na dobie byłoby jątrzenie wzajemnych stosunków, kiedy właśnie niemcy łódzcy zrobili krok, a nawet dwa kroki na drodze zbliżenia dwóch narodowości. Błazny w cyrku przemawiają jeszcze do publiczności po niemiecku, ale do świń odzywają się już po polsku. Donosi o tem *Dziennik* i równocześnie zaznacza, że straż ogniowa po raz pierwszy przysłała zaproszenie do redakcyi w języku polskim. P. kronikarz uwierzy mi, jak ja wierzę jemu, że nie podkreślam dwuznacznie zestawienia tych dwóch faktów, chociaż oba „biją w jeden punkt." Ponieważ p. Sarmaticus posiada krótką pamięć, zwłaszcza o swoich wybrykach, przypomnę mu tu jedynie, że dwuznaczne jego podkreślenia stosowały się nietylko do tego zarzutu, co do którego tłomaczy się teraz. Jeżeli kto ma odwagę „moralną" rzucać na przeciwnika insynuacye, powinien przynajmniej wytrwać w swej roli, nie zaś uciekać za płot i stamtąd wymyślać. Dla takiej szermierki istotnie trzeba być już nie ograniczonym, ale bez granic ubogim umysłowo i moralnie.

Korespondent płocki podaje całą wiązkę faktów, „zasługujących na szczere uznanie i skrzętne wyróżnienie." Rozumie się, powiedziano to ironicznie. Przeciw wysuwaniu w pismach na pierwszy plan ujemnych stron życia społecznego dosyć często dają słyszeć się głosy, żądające oświetlenia również stron jasnych.

Jest to żądanie niesłuszne, gdyby prasa bowiem notowała każdy czyn uczciwy, każdą cnotę cichą, każde spełnienie obowiązku, świadczyło by to, że poziom moralności społecznej stoi nisko, kiedy nawet takie zwyczajne rzeczy uwydatniać potrzeba. Według mego zdania, właśnie pewnego rozprzężenia moralności naszej dowodzi ten fakt, że prasa coraz częściej spełnienie obowiązku podnosi do znaczenia zasługi. Kronikarz *Korespondenta* mówi wyłącznie o zjawiskach ujemnych, bardziej charakterystyczne fakty zaznaczymy tu pobieżnie.

W mieście X. (dlaczego ta tajemniczość) pedagog, utrzymujący uczniów na stancyi, przez kilka tygodni karmił ich mięsem z wściekłej świni, której trupa odkopał i odciął mu łeb, ponieważ tam tylko według zdania uczonego znawcy kryje się jad. O podobnem zdarzeniu pisałem w *Prawdzie*, tam jednak łeb ucinali i mięso jedli chłopi, teraz okazuje się, że pomiędzy inteligencyą i ludem panuje jeszcze u nas, dzięki Bogu, pewna wspólność poglądów.

Wspólność ta nie wyłącza jednak ścisłego zachowywania różnic stanowych, na których opiera się, jak wiadomo z *Niwy* i *Słowa*, wszelki porządek społeczny. Pewien zamożny obywatel (znowu X.) zapowiedział służbie, jak ma przemawiać do niego i rodziny, przy czem szczególny nacisk położony był na zdejmowanie czapki i dodawanie tytułu „jasny." Mały pastuszek zamiast tytułu tego, użył utartego wyrażenia „proszę jegomości," za co obity został i wydalony ze służby.

Trzeci X. wreszcie, także obywatel ziemski, wykazał nadzwyczajną obrotność umysłu, umiejącą skorzystać nawet z takich okoliczności, które kto inny uważałby za klęskę. Na polach jego zamiast pszenicy obrodziła bujnie mietlica. Człowiek zwyczajny na chwast ten nie zwróciłby uwagi, pomysłowy agronom tymczasem kazał skosić a potem omłócić mietlicę i nasienie jej sprzedał żydkowi, jako nasienie koniczyny. Za jednym zamachem spełnił więc czyn podwójnie obywatelski, okpił bowiem żyda, co już samo przez się jest zasługą nie małą, oprócz tego przyczynił się do powiększenia kroniki oszustw semickich, rozumie się bowiem, że ów żydek złapany zostanie na sprzedaży mietlicy zamiast koniczyny.

Na zakończenie mały przyczynek do wiary chłopskiej w cuda. W zeszłym tygodniu puścił się z Warszawy w podróż napowietrzną p. Miłosz, aeronauta spuścił się na ziemię około Siedlec, balon jednak wymknął mu się i poszybował dalej. Na drugi dzień w okolicy Brześcia przerażeni wieśniacy ujrzeli dziwotwór, którego jedni przyrównywali do smoka, drudzy do „latającej cerkwi" itd. Wszczął się nie mały popłoch, kilku jednak śmielszych zbliżyło się do balona i zaczęło się mu lękliwie przyglądać. Rezultatem krótkiego badania była zupełna zmiana usposobienia widzów, którzy teraz bez trwogi rzucili się na smoka. Cóż ich do tego skłoniło? Rzecz drobna, ale dla chłopa niezmiernej wagi, uważni badacze dostrzegli, że z balonu zwieszają się rzemienie i kółka mosiężne, tj. te właśnie przedmioty, na które wieśniak, jak sam wyznaje, jest „strasznie łakomy." Dosyć było widoku tych skarbów i nadziei zdobycia ich, żeby w umyśle chłopów zaszła radykalna zmiana, smok stracił dla nich wszelką grozę, latająca cerkiew wszelką świętość. Balon został oporządzony, jak należy; kiedy właściciel jego przybył na miejsce wypadku, zastał tylko strzępy swego powietrznego pojazdu.

J. Nieborski.

Sosnowiec, w lipcu.

Przedewszystkiem małe spostrzeżenie: W Sosnowcu rodzą się literaci, jak grzyby po obfitym deszczu. Nie ma *Kuryerka* w Warszawie, któryby nie posiadał tu swego „specyalnego," jak wy tam nazywacie, korespondenta; a każdy z tych panów jest obdarzony tak bogatą wyobraźnią i bystrym wzrokiem, iż o tem, co niby u nas się dzieje, dowiadujemy się z pism warszawskich.

Pewnego pięknego poranku spotkasz wiadomość w *Kuryerze X.*, iż: „Borsig zakupił już ogromne obszary gruntu w Sosnowicach dla założenia filii swoich wielkich warsztatów," co mu nawet w głowie nie zaświtało.

W piśmie N. czytasz znowu: „Dowiadujemy się, iż żandarmerya pruska dała *ustne* (?) polecenie mieszkańcom Sosnowca, iżby nie przyjeżdżali do Prus bez awizowanych kartek... od konsula w Warszawie."

Dalibóg nie wiem, czemu bardziej mamy się dziwić: czy tym, którzy podobnego rodzaju banialuki wymyślają, czy redakcyom, które im wierzą. Mógłbym wam wyliczyć setki tego rodzaju doniesień, pobudzających nas często do śmiechu, ale bojąc się, bym nie został posądzony o „jalousie de metier," przystępuję do rzeczy.

Otóż Sosnowiec, który niedawno jeszcze znajdował się w okresie najwyższego swego rozwoju, któremu tu wszyscy przepowiadali świetną przyszłość na polu handlowem i przemysłowem, ten Sosnowiec, który został okrzyczany za złotodajną Kalifornię, za Eldorado, gdzie ludzie bez pracy w krótkim czasie dochodzą do bogactw — już dziś spoczywa na laurach i nie widzimy ani jednego kroku naprzód. Fabryki nowe nie przybywają, a te, które już istnieją, nie mogą rozwinąć swej działalności przez powiększenie lub dobudowanie, gdyż władza wydała w tym względzie zakaz. Dla tej to przyczyny pp. Peltzer z Francyi, którzy w Sosnowcu mieli budować warsztaty mechaniczne znacznych rozmiarów, zmuszeni byli założyć swe obozowisko w Częstochowie. Ten sam los spotkał już kilku innych, chcących tu próbować szczęścia, przybyszów. Wstrzymano również budowanie nowych domów, skutkiem czego powstał brak mieszkań, a cena ich dochodzi do niebywałej wysokości. Jak długo to ograniczenie potrwa i czy wogóle z czasem rzeczy się zmienią na lepsze? Zależy to podobno od tego, czy Sosnowiec zostanie miastem czy nie. Ale kiedy to nastąpi? Wiemy jedynie tyle, iż władza bardzo gorąco ów projekt popiera, a naczelnik powiatu robi wszystko, co jest w jego mocy, by Sosnowiec zamienić na miasto i raz go wyprowadzić z dwuznacznego położenia, w jakiem się obecnie znajduje. Faktycznie jest miastem, a prawnie osadą, niemającą żadnych przywilejów, podlegającą zarządowi wójta gminy (oddalonego stąd o milę drogi), a pod względem bezpieczeństwa, wobec tak różnorodnej ludności fabrycznej, pozostającą pod pieczą kilku policyantów i jednego sołtysa.

Ma tu powstać gimnazyum. Spojrzę na proletaryat tutejszy, na tłum roboczy, zajęty całodzienną pracą około wyżywienia rodziny i niemający żadnych środków ani sposobności do kształcenia swoich dzieci, gdy rozważę jak walka o byt z każdym dniem staje się bardziej za-

trwałającą i jak wobec tej walki o kęs chleba mimowoli zamierają w człowieku wszystkie lepsze i cieplejsze uczucia — pytam nieraz: cóż wyrośnie z tych dzieci, które tak kręcą się samopas, bez nauki i opieki moralnej?

Szkół więc dajcie jaknajwięcej, gdyż one są dźwignią społeczeństwa!

St. Jer...icz.

PRASA ROSYJSKA.

Swiet zamieszcza ciekawą korespondencyę z gubernii wileńskiej, autor której p. Żurawskij pisze:

„Wśród katolików na Litwie zrodziło się odszczepieństwo, wobec którego sztundyzm rosyjski jest drobnostką. W wielu miejscach lud począł obywać się bez duchowieństwa i sam sprawuje po swojemu obrzędy. Grzebią bez księży i nie na cmentarzach parafialnych, lecz na wybranem miejscu po za wsią; grzebią przytem o ile można uroczyście: śpiewają pieśni święte, niosą zapalone świece, dają na podzwonne, jeden zaś, niby duchowny, poprzedza trumnę. W kościołach, przed wyjściem mszy, zwłaszcza w wielkie święta, lud gospodarzy w najlepsze; śpiewają co zechcą, to znowu ktokolwiek, jakoby książ z kazalnicy, czyta na cały głos dla zebranych jakąś starożytną, ulubioną modlitwę. Bywa tak nietylko po wsiach, gdzie brak duchowieństwa, lecz nawet w takich miastach, jak Wilno. Tam zaś, gdzie nie masz w pobliżu kościoła, powstają domy modlitwy, gdzie wyjąwszy ofiarowania chleba i wina, całą mszę odprawiają, i to w języku polskim; toczą się rozmowy pobożne o potrzebach współparafian, jak to bywało za pierwszych wieków chrześciaństwa. Trzeba być ślepym, aby nie widzieć, że jeżeli nie będą przedsięwzięte środki stanowcze, odpowiadające celowi, wówczas ten znaczący objaw wpłynie w sposób nieprzeparty i niespodziewany na katolicyzm na Litwie i na cały ustrój społeczno-państwowy. Rzym oceni, jak przystoi, to zjawisko, poruszy do walki z odszczepieństwem cały arsenał jezuicki, to zaś dla kraju i państwa może przynieść jedynie szkodę. Jeśli zaś to nie nastąpi, naówczas ujrzymy rychły koniec katolicyzmu w kraju tutejszym. Jak wszakże będzie działała machina państwowa wtedy, gdy religia schroni się pod strzechy chałup, gdy masy, wyzwoliwszy się pod względem religinym, pójdą dalej po tej drodze, co byłoby rzeczą naturalną? Zaiste, kwestya to państwowa, do której rozstrzygnięcia potrzeba koniecznie znać przyczyny objawów, o których mowa."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Opera p. A. Minchejmera p. t. *Mazepa*, dotychczas nie grana u nas wcale, przedstawiona będzie w Antwerpii.

Dochody z opłat za akty notaryalne, użyte będą na powiększenie pensyi urzędników sądowych, dotychczas przelewano je na rzecz kas miejskich.

Naczelnikiem biura statystycznego dla Królestwa mianowany został p. Simonenko, profesor uniwersytetu.

Mianowanie. Prof. M. Nencki mianowany został rektorem uniwersytetu w Bernie.

Towarzystwo łowieckie zawiązuje się w Warszawie.

Sprostowanie. Wiadomość o niedopuszczeniu izraelitów do zajęć w kancelaryach władz sądowych okazała się fałszywą.

Ogród zoologiczny otrzymał w darze od p. Kickiej zbiór złożony z 400 okazów ptaków krajowych; zbiór ten ma być zawiązkiem gabinetu zoologicznego.

Kara. *Warsz. Dniewnik* podaje wiadomość, że dwie parafie katolickie w gubernii grodzieńskiej, w Śledzianach i Granowie zniesiono, przyczem parafianom oznajmiono przyczyny, które skłoniły władzę do tego postanowienia. Winnymi okazali się księża, którzy podtrzymali w uporze b. unitów.

Archiwum centralne w Wilnie posiada obecnie 17,767 ksiąg, w których znajduje się mnóstwo cennych dla nauki i nieznanych jeszcze historykom dokumentów.

Tunel. Roboty przygotowawcze do przekopania tunelu pod cieśniną mesyńską już rozpoczęto. Tunel ma być ukończony w ciągu lat czterech.

Władze niemieckie po swojemu uczciły jubileusz znakomitego pisarza Gustawa Freytaga, zawiadamiając go o znacznem podwyższeniu płaconego przezeń podatku dochodowego.

Pismo francuskie. Niejaki p. La Verière wniósł podanie do zarządu prasy o pozwolenie wydawania pisma w języku francuskim w Warszawie lub w Wilnie.

Handel ludźmi. Prasa lwowska i wiedeńska zamieszcza ciekawe szczegóły o handlu młodemi dziewczętami, który w ostatnich czasach przybrał w Galicyi szerokie rozmiary. Żydzi, którzy zajmują się tym handlem sprzedają młode dziewczyny głównie do Ameryki południowej. Istnieją specyalne agencye w tym celu, zarówno w Galicyi, jak i na miejscu zbytu.

Poręczenia fikcyjne. Wkrótce ogłoszone zostaną przepisy, zapobiegające dowolnemu przenoszeniu spraw do niewłaściwych okręgów i rewirów sądowych, za pomocą przypisania fikcyjnych solidarnych poręczycieli. Nadużycie to praktykuje się na szeroką skalę u nas, gdyż art. 2014 Kod. Napoleona pozwala ręczyć osobie trzeciej nawet bez wiadomości i zgody dłużnika.

Nowe prawo. *Prawit. Wiestnik* ogłasza nowe prawo, dotyczące rodziny cesarskiej. Tytuł Jego Wysokości mogą nosić tylko synowie, wnucy i prawnucy cesarzów, inni książęta nazywać się będą: Jego Światłość książę krwi cesarskiej. Uposażenie osób, należących do rodziny cesarskiej znacznie zmniejszono. Wreszcie dozwolono członkom domu panującego wstępować w związki małżeńskie z osobami innych wyznań.

Straszna śmierć. Trzech więźniów w Charkowie skazanych zostało za zabójstwo towarzysza na dożywotnie roboty ciężkie i 90 uderzeń pletni. Jeden ze skazanych, Osadczenko kary nie wytrzymał i skonał pod batami.

Zmarli. Junggreen, patryota duński, poseł ze Szlezwigu do parlamentu niemieckiego.

— Max Duncker znakomity historyk i publicysta niemiecki.

— Karol Piloty, sławny malarz, dyrektor Akademii sztuk pięknych w Monachium.

— Feliks Sztajner, aptekarz, wice-prezes Towarzystwa farmaceutycznego, autor wielu prac w zakresie swej specyalności.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. Taraszkiewicz z Szamrajówki kop. 50. Zebrane na imieninach p. J. O. M. za pośrednictwem p. Józefskiego od X. Y. z Kijowa rs. 7 kop. 50.

Dla studentów Uniwersytetu warszawskiego. Zebrane na imieninach p. J. O. M. za pośrednictwem p. Józefskiego od X. Y. z Kijowa rs. 7 kop. 50.

Dla nędzy wyjątkowej. Kijakowska z Głębokiego rs. 2.

Do rozporządzenia redakcyi. Od U. D. N. rs. 32; W. Łopuszyński z Dorpatu rs. 6 kop. 70.

Na kasę imienia Mianowskiego. Dr Adam Rodziewicz z Tyraspola rs. 5.

Dla pogorzelców Grodna. Jt. W. rs. 2.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na poczię zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Iюля 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.